



N^o 35.

Prenumerata w Warszawie:
roczn rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 29 sierpnia 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Kronika tygodniowa. — Wiadomości bibliograficzne. — Przegląd polityki zagranicznej. — O niektórych położeniach nadbrzeżnych wisły (z trzema drzeworytami). — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego z Paryża — Wycieczka na Łomnicę tatrzańską 26 lipca 1865 r. (dal ciąg). — Pożar nasolcu dnia 14 sierpnia 1868 r. (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Silni i słabi, powieść (dalszy ciąg). — Odpowiedź (wiersz). — Słów kilka o repertuarze (dalszy ciąg).

Kronika tygodniowa.

„W kronice Tygodnika rozbiérane są zwykle przez Pana kwestye bieżące, żywotne; nie wątpię zatem że i kwestyą przemennie podaną, raczysz się pan zająć i przy umieszczeniu méj korespondencyi, zechcesz pan wynurzyć swoje zdanie i radę.

Kodeks karny przewidział rozmaitego rodzaju przestępstwa, jakich człowiek w życiu społeczném dopuścić się może, i okréślił kary, jakim przestępca w takim razie podlega, oraz środki ochronienia społeczeństwa od wpływu szkodliwego człowieka. Zabójstwo, kradzież, obraza honoru, uszczerbek na dobrej sławie, są przewidziane i zabezpieczone. Są jednak przewinienia ważne, których ukarania na drodze prawnej, legalnej, społeczeństwo domagać się nie może.

Do rzędu takich przewinień należy zakłócenie swobody i spokojności młodej dziewczyny, obrażenie w najwyższym stopniu jéj miłości własnej, przez zerwanie związku małżeńskiego już ułożonego i prawie pewnego.

Młody człowiek wciska się do zacnego domu; wzbudza zaufanie rodziców, zjednywa sobie względy i serce panny młodej, niedoświadczonej, która wszystko widzi w jaknajlepszym świetle. Nie przypuszczając zdrady, dziewczica po-



Głęboka droga, wiodąca z Nowej Aleksandryi do Kazimiérza. (Zob. art na str. 100).

wierza młodzieńcowi najtajniejsze skrytości serca swojego, młodzieniec ze swéj strony przedstawia jéj szczęśliwą i różową przyszłość, zapewnia o uczuciu, które ma do zgonu nie wygasnąć. Kiedy rzeczy przyjdą do tego punktu, że małżeństwo zdaje się być już ułożoném, wtedy młody człowiek bez żadnej przyczyny usuwa się, szydząc sobie z bolesnego zawodu panny i z ubliżenia całemu domowi i rodzinie, do której dobrowolnie się wcisnął i okryty pozornym płaszczkiem cnoty został przyjęty...

Takie przestępstwo, nie mówiąc o obrazie całej rodziny, wpływa bardzo szkodliwie na panny, paraliżując ich całe życie; złamana latorośl już nie rośnie do góry, lecz ku dołowi się chyli.

Że człowiek który się dopuści takiej zbrodni zasługuje na potępienie, o tém niema wątpliwości. Ci którzy doświadczyli jego zdrady, nauczyli się już z doświadczenia jak go mają uważać i cenić. Lecz człowiek taki porzuca całe koło w którym dał się już poznać i przenosi się do innego kółka rodzinnego, starając się tam zakłóceniem spokoju i swobody znaleźć dla siebie pożywną strawę.

Otóż racz szanowny panie wynurzyć zdanie: jakimby sposobem społeczeństwo można uwolnić od tak szkodliwych członków, co tém więcej jest niezbędne, że podobne wypadki w ostatnich czasach bardzo często się powtarzają.

Niestety! Mnóstwo jest zbrodni i przestępstw społecznych, na których ukrócenie często moralne tylko środki działają mogą.

Takie środki dla niektórych okazują się bardzo dotkliwymi, niedostatecznymi dla innych, zależy to zresztą od osobistości.

W wypadkach tego rodzaju wina zawsze jest po stronie mężczyzny. Kobieta jednak zwykle cierpi na tym. Należałoby więc wedle możliwości fakt taki jawnym uczynić, żeby potępienie wszystkich znacznych ludzi dało uczuć winnemu całą niegodność jego postępków, i żeby plama ciężąca na nim stała się dlań przeszkodą do zawarcia nowych związków, w którychby mógł nawet upatrywać swoje przyszłe szczęście.

Zauważaliśmy usposobienie do dawania oklasków bez powodów i miary.

Ten optymizm wszędzie widzieć się daje.

A nie mówimy już o teatrach gdzie dobra gra artystów usprawiedliwia często te chałaśliwe oznaki zadowolenia, ale w ogródkach, na przedstawieniach akrobatycznych, po obrazach żyjących, rozmaitych tańcach, śpiewach, pozach etc., oklaski wydają się ni- by częścią nieuchronną widowiska.

Publiczność czuje się do nich obowiązana, to już do programu należy.

Zdarza się że niektóre części przedstawienia nie podobają się zupełnie, ze wszech stron sypią się nagany, szeroko ziewające usta świadczą o znudzeniu, każdy pragnie tylko żeby to się czémprędzej skończyło, a jednak oklask nie ominie, znajdują się zawsze tacy którzy poczuja się do obowiązku zbijania sobie dłoni.

I gdyby to czyniono za pieniądze, tak jak w Paryżu naprzykład, gdyby istniała u nas armia płatnych i uorganizowanych klaskaczy, nie dziwilibyśmy się temu; boć każdy musi żyć.

Ale ci amatorzy uwielbiania bezinteresownie rzecz swoją pertraktują, znajdują oni widocznie, że zamalą opłatę wzięto od nich przy wnijsciu, że gdyby tak wrzaskliwym sposobem nie objawiali swojego zadowolenia, zarządzający widowiskami mieliby prawo wyprosić ich za drzwi.

Dowodzi to o ich..... dobrém sercu, ale w żadnym razie nie daje świadectwa inteligencji i jakbądź rozwiniętego zmysłu krytycznego.

Zresztą we wszystkich miara być musi.

Z jakiegobądź punktu będziemy się zapatrywać na występujących publicznie, zawsze tam być muszą lepsi i gorsi.

I nie mówimy już o stopniowaniu w sztuce, o tém już bowiem dawno zapomniano u nas, ale nawet przy wywracaniu koziołków jeden musilepiej, drugi gorzej rzecz swoją pertraktować. Dlaczegoż więc czynić krzywdę lepszemu, stawiając gorszego z nim narówni w udzieleniu tych tak jawnych oznak zadowolenia.

I te oklaski dzielą się na dwa rodzaje: na witalne i żegnalne

Bije się brawo przy pojawieniu się na scenie i wydalanu się z niej.

Idzie to regularnie jak zegarek. Zdawałoby się że publiczność ulega naciskowi jakiejś sprężynki; wszystkie ręce za jednym zamachem podnoszą się w górę i dalejże klaskać.

Dziwi nas tylko krzywda wyrządzona jednego rodzaju artystom, którzy niewiadomo dlaczego doznają tego upokorzenia, boć przecie zasługa ich nie mniejsza od tej którą wielu z bardzo przyklaskiwanych na karb swój policzyć mogą.

Mówimy tu o katarynkach.

Skromni ci rozweselacze uliczni przechodzą nieraz niespostrzeżeni, może dlatego że nie zmuszają nikogo do zapłaty, ale rozlewają skarby melodyi, pozwalając przechodniom ocenić tę zasługę według upodobania.

Dlategoż tak niesłuszne pokrzywdzenie talentu.

W czémże katarynkarz niższym jest o! fałszywyj pozytywkę umieszczoną na deskach pierwszj lepszej scenj, z tą tylko różnicą że jedno indywiduum mieści ją w gardle, drugie zaś dźwiga z trudem na ciężkim rzemiennym pasie przez plecy przewieszonym. Da- libóg, moi panowie, to z waszj strony wielka jest niesprawiedliwość; czynienie takich niesłusznych

wyjątków świadczy o stronności do wysokiego stopnia posuniętej.

Albo zaprzestańcie klaskać takiemu co lekką nogą chodzi po butelkach, albo też obdzielajcie również brawem waszém mularza co po zwieszonym z drugiego piętra sznurze pnie się na rusztowanie.

Bo przynajmniej mularz, dopełniając bez żadnej pretensji téjże samj prawie co i tamten sztuki, czyni rzecz użyteczną, i możecie mu się bez złożenia żadnej opłaty przez cały dzień przypatrywać... Do ar- tyzmu, do wielkości nie ma on pretensji żadnej. A że rzemiosło jego jest niebezpieczne, niebezpie- czniejsze może od innych, dowodzą tego wypadki zranienia i śmierci nawet, o których codzién prawie gazety ogłaszają....

Panie kronikarzu.

Z wielkim zajęciem przeczytałem w kronice two- jój z Nru. 33 Tygodnika Illustrowanego anegdotę o generale T** Jeżeli więc uznasz to za stosowne, opowiem tutaj fakt również ciekawy, który stał się przed kilkudziesięciu laty, a którego działaczem był jeden z głównych wojskowych.

Rzecz miała miejsce w Paryżu.

W jednym z konsystujących tam pułków znajdował się siłacz ogromny, generał B**

Żaden pojedynek nie odbył się bez niego, żadna wyprawa smutna nie przeszła bez jego współudziału. Nazywano go „diabłem wcielonym.“

Owóz generał ten pewnego dnia, a raczej nocy, po- wracał dość późno do domu.

Podchmielony, nie uważał że drzwi od jego mie- szkania były otwarte.

Wszedł więc, rozebrał się z mundurów i zapalił faj- kę, chcąc jeszcze do poduszki choć jedną wykurzyć lulkę.

Nagle przy świetle krzesiwka zobaczył w kącie przytuloną postać jakiegoś mężczyzny.

Pomimo kilku butelek Bordeaux, szumiących wje- go mózgowicy, domyślił się co to był za ptaszek. A że, jakem już to wspominał wyżej, siłacz był ogro- mny, rzucił się więc bez obawy na nieproszonego gościa.

Francuz do noża.... ale B** jedném uderzeniem *palca* wytrąca mu sztylet z ręki, aksebantami wiąże go silnie i tak pozostawia do rana.

Następnie, kiedy już brzask dzienny zajrzał do jego okna a gwar kipiącego ludu doleciał go z ulicy, B** dopełnił drugiego aktu „francuzkiej komedyi“ jak ją rad zawsze był potem nazywać, rozebrał drżącego rzeźmieszka do naga i otworzywszy okno, porwał za włosy i wyrzucił na ulicę.

Na szczęście było to pierwsze piętro a złodzieje paryzcy mogliby w skokach z kotami iść w zawody. Więc i ten, choć wyrzucony z okna przemocą, potrafił jednak stanąć na nogi i począł uciekać co mu sił starczyło.

Że jednak Francuzi są zwolennikami piękna kla- sycznego, a złodziej o którym mowa w całym ustro- ju posągowości greckiej pokazał się ich oczom, więc nuże za nim.

Skończyło się na tém że złoczyńcę pojmano a w przekonaniu że zwaryował, oddano go do szpitala obłąkanych i głowę mu zgolono, czemu nawet z oba- wy surowej kary wcale się nie opierał.

Napoleon dowiedziawszy się o całym tym wypad- ku, uśmieł się serdecznie.

Cóż może być chwalebniejszego, piękniejszego, święt- szego nawet jak przywiązanie rodziców do dzieci, albo dzieci do rodziców; czasem jednak to przywią- zanie w dziwny wyraża się sposób.

Oto jeden z przykładów.

Pan *** nabywszy dobra w nieznanj sobie okoli- cy, postanowił oddać konieczne wizyty w sąsiedz- twie.

Pomiędzy innemi trzeba mu było odwiedzić i pa- nią N* kobietę mającą a nie młodą już, która wiel- kiém zachowaniem cieszyła się w całej okolicy.

Przyjęty gościnnie, w trakcie rozmowy z panią domu, gość spostrzegł na ścianie portret prześliznięj kobiety.

Ta której rysy malarz starał się odwzorować na

plótnie, mogła mieć około lat dwudziestu wieku. Była to twarz rysów nadzwyczaj regularnej piękno- ści, do ideału prawie się zbliżającej. Zdawało się że artysta, malując ten obraz, upieścił ukochaną myśl swoje.

A jeżeli rzeczywiście było to tylko wierne oddanie żyjącej piękności, to przynajmniej należało że szczęśliwy tylko traf naprowadzić może na tyle doskonałości na raz zebranych.

Nie uszło uwagi pani domu że młody człowiek bacznie wpatrując się w ten portret, nie mógł prawie wzroku od niego oderwać.

Uśmiechnęła się więc smutnie i rzekła:

— Pan się przypatrujesz temu portretowi?

— Tak pani, rzadko bowiem zdarzyło mi się spotkać tak piękną osobę, i rad byłbym wielce poznać ją.

— To moja córka, odrzekła gospodyni domu i.... dodała ze łzami w oczach, nie żyje już.

— Wybacz pani że pomimowolnie odnowilem tak smutne wspomnienie, ale doprawdy, patrząc na ten portret, trudno jest pojąć jak pani ją kochać musia- łaś, i o ile strata jej sprawić musiała boleści sercu macierzyńskiemu. A boleść tém większa kiedy umiera dziewica w pełnym rozwoju młodości i wdzięków.

— Niestety, rzekła pani N**, kiedy utraciłam moję Lorcię najdroższą, miała zaledwie lat dwa....

— Lat dwa! a... ten portret?

— Ten portret kazałam wymalować sobie żeby mieć ją przed oczami taką, jakąby była, gdyby do- szła do tego wieku.

Warszawa na przyszły miesiąc powinna przygo- tować sporo tłustych ciolaków, bo rozpocznie się już powrót jej marnotrawnych synów. A biblijne to wyrażenie podwójne tu znaleźć może zastosowanie, mniej bowiem jest marnotrawcą ten który posiada- jąc miliony, rozprasza cały swój dochód, nie narusza- jąc jednakże kapitału, aniżeli chudopacholek, wy- dający więcej niż posiada.

Podobnoć jednak tej manii podróży zagranicznych trudno nam się pozbyć.

Dziwna rzecz, my się skarżymy na zdiérstwo za- granicą, a zagranicznj skarżą się na zdiérstwo u nas. W jednej z gazet niemieckich pomieszczony jest ar- tykuł w którym korespondent oświadcza wręcz że najdroższém miastem jakie zna jest Warszawa, i że rachunki jakie mu tutaj podawano, przechodziły wszelką miarę. Przytacza nawet niektóre pozycje i rzeczywiście przyznać należy, że jeżeli cyfry są pra- wdziwe, to jest na co się zalić. Korespondent dodaje że podróżując po całej Europie, nigdzie tyle nie wy- dał stosunkowo do długości pobytu ile w mieście naszym.

Wiadomości bibliograficzne.

(Archeologia. Sztuki piękne)

Dzieło ś. p. Konstantego hr. Tyszkiewicza *O kur- hanach na Litwie i Rusi zachodniej*, objaśnione atlasem piętnastu tablic litograficznych, wyszło już w Berlinie u Behra. Wielką zasługą tej książki jest zna- jomość postępu badań archeologicznych w Niem- czech i we Francji, obok skrzętnego gromadzenia wiadomości o wszystkich co na dawnj Litwie i Rusi w grobach pogańskich odkryto. Szkoda że tak su- mienny i uczony autor, pisząc dzieło swoje, nie mógł mieć jeszcze pod ręką świeżo w Wiedniu wydanej publikacji Dra Sackena (*Das Grabfeld von Halstatt*), rzucającej wielkie światło na grobowe zabytki po- gańskiej przeszłości. Baron Sacken bowiem, jest dziś, obok Lindenschmitta, Warsaęgo, Nilsona, Wa- cła, Pallmanna, pierwszorzędną powagą w tym kie- runku archeologicznych zaciekań i studyów. Kon- gres także starożytników, odbyty w roku zeszłym w Antwerpii, i wystawa powszechna paryzka, zy- skały badaczom w obecnej chwili nowe poglądy w tej gałęzi nauki. Szczerze przyznać się godzi zmarłemu Tyszkiewiczowi, że się starał o nabycie wszechstronnych wiadomości na obraném przez sie-

bie polu, a praca jego jest najlepszą z tego wszystkiego co u nas o mogiłach pisano, przynajmniej dąży do zogólnienia, do rezultatów, o których zdobycie pierwszy pokusił się Kraszewski, torując drogę następcom swoim dziełem: *Sztuka u Słowian*. Hr. Tyszkiewicz pisał zręcznie, książka jego czyta się miło. Należałoby zdać obszerniej sprawę z tej interesującej publikacji.

— Do bardzo ważnych także wydawnictw należy wielkie dzieło Oskara Kolberga, O zwyczajach, pieśniach, muzyce i podaniach ludu polskiego, rozpoczęte w r. 1857, którego już (mimo wielkich kosztów jakie za sobą pociąga illustrowana edycja) wyszła obecnie serya III, obejmująca studia o Kujawach. Chromolitografie, ryciny i drzeworyty, wykonane wedle rysunków Gersona, zdobią książkę. Autor zastanawia się nad glebą, fizyognomią kraju, charakterystyką ludu, ubiorem włościan, pokarmami, budową chat, naczyńiami, sprzętem, narzędziami rolniczymi, przesądami, zabobonami, nad pojęciami o śmierci, o życiu zagrobówem, przytacza powieści gminne, legendy, przysłowia, zagadki, zwyczaje, kołendy, pieśni (z muzyką), gry, uroczystości religijno-rodzinne, jak i wesela, chrzciny, pogrzeby, święta wielkanocne, Bożego narodzenia, świątki i t. p. Dzieło to nosi tytuł: *Lud*, a przedstawia materiał do ogólniejszych i głębszych poglądów, których bez studyów takich mieć nie możemy.

— W piśmie *Ueber Land und Meer*, wychodzącym w Stuttgardzie, w Nr 30, przedstawiono w drzeworycie scenę z obyczaju zrzucania Judasza z wieży w wielki tydzień, objaśniając jak to u nas czynią w różnych okolicach. O podobnych ludowych obchodach zwyczajowych praktykowanych w krajach polskich, znajdujemy artykuł w 1224 Nr. *Illustrirte Zeitung*, oraz wzmianki w dziełach: F. Norka (*Die Sitten und Gebräuche*), J. Grochmanna (*Aberglauben*), J. Hanusza (*Bajestolny Kalendar slovensky*), a najobszerniej traktuje ten przedmiot Marbach w świeżo wydanej w Frankfurcie rozprawie (*Die Weinachtszeit*). Niemieccy badacze wierzeń i obyczajów ludu, nie pomijają teraz zwyczajów naszych, ale wiadomości o nich włączają do materiałów, z których naukowe wnioski i rezultaty w książkach swoich podają. Będziemy się starali donosić polskim czytelnikom o tych studyach obcych, nas się dotyczących.

— W dawniej ogłoszonych wiadomościach wspomnieliśmy o pracach W. Manhardta, dotyczących się naszych zwyczajów ludowych; obecnie zacytować nam przychodzi jeszcze jedno dzieło w tym kierunku, to jest powtórna już (w ciągu jednego roku) edycja książki dra Töppea: *Aberglauben aus Masuren* (Gdańsk u Bertlinga). Badania zabobonów i zwyczajów ludu polskiego (z dzielnicy pruskiej) rozpoczął przed stu laty Pizański, który już w roku 1756 wydawał w wychodzącym wtedy w Królewcu tygodniku, wiadomości o zabytkach pogańskich, dochowanych u Mazurów. Następnie pracowali na tym polu Niemcy: Tettau, Temme, Hintz i Bender. Dr. Töppen użył materiału zgromadzonego przez swoich poprzedników. O. Kolberg podał w majowym poszycie *Biblioteki warsz.* z r. b., krytyczny przegląd książki Töppea.

— Profesor uniwersytetu berneńskiego Dr. M. Lazarus, rozpoczął wykłady swoje prelekcją, już w powtórnej edycji ogłoszoną (w Berlinie u Dümmlera) pod napisem: *Ueber den Ursprung der Sitten* (O źródle obyczajów). Autor daje w pracy swojej pogląd raczej na wytworzenie i kształcenie się obyczajów, nie zaś na powstawanie zwyczajów, pozostających z przeszłości; przeciw zacytowanej broszura, jako rozważająca zasady metody badań, zyskujących u nas coraz nowszych pracowników, na wzmiankę zasługuje. Dzieło także uczonego profesora Rochholza: *Deutscher Glaube und Brauch*, (Wiara i obyczaj niemiecki), tém właściwiej zacytować nam w tej kategorii przychodzi, że nasi zbieracze zwyczajów i wierzeń ludowych wiele zeń korzystać mogą, ze względu na wnioski jakie p. Rochholz wyprowadza ze studyów swoich.

— Zwiększając poczet monografii miast i osad polskich, opisywanych przez Niemców, z powodu zachęty jaką rząd pruski dał u siebie pracom tego kierunku, do wymienionych w dawniej ogłoszonych wiadomościach, dodajemy wydane w Trzemesznie (u

Olawskiego) *Statistische Darstellung des Kreises Mogilno* (Obraz statystyczny okręgu mogiłańskiego).

— *Codex diplomaticus Silesiae*. Wyszedł 8 tom (Wrocław, Józef Max et Comp.) tej wielkich rozmiarów publikacji.

— Na wystawie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, ukazał się rysunek p. *M. Cerechy* wielkiego ołtarza kościoła N. M. Panny, oraz fotografia *Maliszewskiego* z tego przerysu wykonana. Już to 16 artystów naliczyliśmy, którzy się zajmowali robotą akwarel, litografii, rysunków, fotografii i t. p. tego dzieła Stwosza, a mianowicie: profesor malarstwa *Józef Brodowski* malował widok ołtarza olejno, prawie przed 40 laty. Po nim *Karol Balicki* rozpoczął malowanie akwarelą, którego po śmierci jego (r. 1854) dokończył *Ludwik Lepkowski*, dla wydawców *Wzorów sztuki średniowiecznej*. Wedle tej akwareli wydał *M. Fajans* swoje chromolitografię. Wykonał też Lepkowski drugą jeszcze akwarelę ołtarza, bardzo wielkich rozmiarów, pozbył do muzeum warszawskiego. Z tej istnieje zmniejszona fotografia *W. Rzewuskiego* i takież sztych *J. Friedleina*. Rzewuski robił również fotografię z natury, a obecnie ma sobie poruczone utworzenie fotograficznego albumu ołtarza. *A. Essenwein* wydał ów ołtarz w litografii (z projektem zakończenia szczytu). Pojedyncze części ołtarza rysowali: *Baulisch, Pilecki, Gryglewski, Dudrak*. Ten ostatni zajmuje się teraz zdejmowaniem całości. Istnieją także drzeworyty części środkowej. *L. Westwalewicz* robił odlewy z gipsu główek pomniejszych. *Stróżecki i Książarski* wykonywali pomiary. Obecnie komitet restauracji ołtarza Stwosza, wydał drugie sprawozdanie z czynności swoich.

— W pierwszym zeszycie ósmego tomu archeologicznych sprawozdań, wydawanych przez węgierską akademię umiejętności, jest rzecz o ołtarzu Wita Stwosza w Bystrzycy (Neusohl). Rzeźba ta ma datę r. 1504.

— P. Oskar Sosnowski, rzeźbiarz zamieszkały w Rzymie, ofiarował arcybractwu miłosierdzia wykuty przez siebie w kararyjskim marmurze posąg Skargi, nad którego umieszczeniem w Krakowie (na Małym rynku, w katedrze na Wawelu, w kościele ś. Piotra, na placu Franciszkańskim, lub w domu arcybractwa), odbywają się narady.

— W Krakowie w ogrodzie botanicznym, stanie popiersie Warszewicza, z marmuru kararyjskiego, dłuta W. Gadomskiego.

Przegląd polityki zagranicznej.

28 sierpnia.

Na czele wszystkich wiadomości bieżącego tygodnia, stawiamy depeszę z Paryża z d. 26 b. m. zapowiadającą że projekt kongresu wznowiony został. Wprawdzie Epoque przyznaje że projekt nie był jeszcze urzędownie przedstawionym, samo jednak podniesienie tak ważnego przedmiotu, stanowi już fakt nieposledniej doniosłości. Powodzenie idei kongresowej, będąc zapowiedzią długiego pokoju a tém samém wzrostu oświaty i dobrobytu państw europejskich, będzie zarazem powodem ogólnego rozbrojenia się. Pytanie zachodzi czy Prusy i Francja, pomawiane przez opinią publiczną o dążności wojenne, zechcą szczerze przyczynić się do tak pokojowego rozwiązania istniejących trudności. W każdym razie, wieść o kongresie, pokojowe odezwanie się francuzkiego ministra skarbu, przemowa senatora Larrabit w Grenobli w dzień odsłonięcia pomnika Napoleona I, wszystkie te i tym podobne antiwojenne głosy, nie zdołały rozbroić pesymistów, głoszących upórcoznie blizkie z Prusami starcie. Prasa francuzka ciekawy w tym względzie przedstawia widok; podczas gdy jedne pisma, jakby na dane hasło, głoszą pokój na wszystkie strony, inne wierzą w wojnę jako w konieczne następstwo obecnego stanu rzeczy we Francji i Niemczech. *Liberté* podała już nawet mapę nadreńskich prowincyj, z zaznaczeniem dawniejszych i obecnych granic państwa, lecz silnieby się omylił ten, ktoby wyjechał i uważał jako rzeczywistą oznakę usposobienia rządu francuzkiego. Nawet półurzędowy Pays dowodzący konieczności wojny z Prusami nie może być brany za miarę

położenia rzeczy, gdyż wiadomém jest, że niejednokrotnie już wystąpienia p. p. Cassagne (redaktorów Pays) stanowczo przez rząd były odwołane. Z tém wszystkiém, obowiązkiem jest dziejopisa czy kronikarza, zaznaczać wszystkie te różnorodne kierunki i zdania, stanowiące, bądź co bądź, rzeczywiste zwierciadło obecnej epoki. Wiara i nieufność, pokój i wojna, oto nieodmienne od roku objawy opinii publicznej na Zachodzie, na które dwie tylko okoliczności stanowczo odpowiedzieć mogą: kongres lub wojna. O układach Francji z Belgią i Holandją nowego nie mamy do nadmienienia, gdyż ani rząd ani dyplomacya francuzka nie zaprzeczyli dotąd obiegającym pogłoskom, przeciwnie nawet, wzmocnili je przez zamianowanie p. *Laguerroniére* posłem cesarskim w Brukselli. Cesarz Napoleon z małżonką wyjeżdża do Biarritz.

Od dni kilku wszystkie prawie sejmy krajowe monarchii austryackiej przystąpiły do corocznych obrad, prócz sejmiku morawskiego w Bernie, zamkniętego po piéwszém posiedzeniu z powodu niedostatecznej liczby deputowanych. Wypadek ten przypisują opozycji, idącej ręką w rękę z opozycją czeską, która ze swój strony nie omieszkała zmanifestować i w Pradze. W rzeczy samej, w dzień otwarcia sejmiku pragskiego (22 b. m.) wszyscy członkowie należący do stronnictwa narodowego czeskiego, rzekli się udziału w obradach i założyli protest, lecz gdy ustanowiona prawem liczba 122 deputowanych okazała się w komplecie, sejm przez namiestnika krajowego ogłoszonym został za otwarty i zdolny do wydawania uchwał. Według późniejszych telegramów z Pragi z d. 25 b. m. członkowie wydziału krajowego, *Władysław Rieger, Karol Sładkowski, Szkaroda i Zeithamer*, uwolnili się od obowiązków wydziałowych. W skutek tego, Rieger musiał się rzec także godności intendenta czeskiego teatru krajowego. Z prowincyi, nadeszło mnóstwo telegramów z oświadczeniem przyzwolenia na protest posłów stronnictwa narodowego. Urządowa *Wiener Ztg.* podaje dwa telegramy o otwarciu sejmów w Czerniowcach i we Lwowie. Oba te sejmy, bukowiński i lwowski otwarte zostały w dniu 22 b. m., piéwszy przez prezesa Krajn, drugi przez marszałka krajowego księcia *Sapiehę*. Na sejmie lwowskim namiestnik hr. *Gołuchowski* ubolewał nad długą przerwą czynności sejmowych, wspominał o postępie autonomicznym i zachęcał zebranych do politycznej mądrości i umiarkowania. Na témże posiedzeniu *Smołka* projektował wniosek cofnięcia zeszlórocznych uchwał co do udziału posłów w radzie państwa, i żądał złożenia mandatów ze strony galicyjskich posłów rady. Otwarcie sejmiku zagrzebskiego nastąpi w dniu 12 września.

Dzienniki berlińskie, nie spuszczać z oka Francji i przypisywanych temu mocarstwu zamiarów, zajmują się niemniej gorliwie przyszłą organizacją związku północnego. Większość domaga się aby państwo związkowe przemieniło się w jednolite, przez zrzeczenie się przywilejów odrębnych, należących do książąt związkowych. Depesza z Berlina z d. 24 b. m. doniosła że hrabia *Bismarck* upadł wraz z koniem w Varzinie i potłukł się. Według telegramu z samego Varzina z tegoż dnia, hrabia przebył noc bez cierpień i nazajutrz opuścił łóżko.

Z Rzymu i Florencyi donoszą wciąż o układach toczących się między Francją i Włochami. Przedmiotem układów ma być zupełne wycofanie załogi francuzkiej z wiecznego miasta, i w razie zobopólnej zgody, układy te uważane być mają za wstęp do przymierza. Wiadomości te zbyt ważne, aby je bez zastrzeżeń przyjąć było można, témbardziej że *Riforma* i *Gazeta turyńska* stanowczo tym wieściom zaprzeczają. Według sprawozdań dzienników włoskich, w d. 31 lipca r. b. po konferencji ministra skarbu z posłem francuzkim p. *Malaret*, nastąpił podział długu papieżkiego. Część przypadająca na królestwo włoskie wynosi 18,022,330 fr. Spór między generałem *Lamarmora* i *Cialdinim* nie ustaje. Oba przeciwnicy drukują na wysięgi dokumenta dotyczące kampanii z 1866 r., lecz szczegóły te zajęcia nie mają donioślejszego znaczenia.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France.)

O NIEKTÓRYCH POŁOŻENIACH NADBRZEŻNYCH WISŁY.

(Z rysunkami i tekstem Ludwika hr. Grabowskiego).

Niéma prawie na świecie rzeki, któraby w całym swym przebiegu wszędzie jednostajnie malownicze miała brzegi. Zapewne że każda z nich ma pewne charakterystyczne swe piętna, które mniej więcej cechę jej stanowią; lecz malowniczość nie w każdym punkcie jednakowo wydatnieje, do tego bowiem nie tylko przyczynia się położenie geologiczne, lecz także praca człowieka i umiejętne jej rozwinięcie.

Wisła nie stanowi w tym względzie wyjątku. Płynie zrazu przez okolice płaskie, a brzegi jej od Warszawy w górę, w kilku jedynie punktach, a mianowicie około Czerska, wynioślejsze przedstawiają położenia;

nym artystycznego wdzięku rozrzuceniu opasujące to starożytne miasto, świadczą o minionej świetności Kazimiérza i o znaczeniu jego handlowém.

Pokład wapienny, szeroko rozciągając się w tej części kraju, przebiega część Lubelskiego i daleko zapuszcza się w Radomskie, łącząc się geologicznym łańcuchem z górami św. krzyżkiemi, checińskimi kopalniami marmuru i systematem podnóza Karpat.

Charakter nadbrzeża pod Nową Aleksandryą, dozwolił założyć tam ogród, któremu niemało dodają wdzięku sterczące dzikie opoki, szczeliny ich malownicze i wykute groty.

Wspaniała na całym nadbrzeżu Wisły roślinność, silniejszą się tam ukazuje, podsycaną będąc gruntem gliniasto-wapiennym, rokrocznie prawie użyźnianym mułem Wisły.

zwyklój i kontrastu efektownego, gdy wzrok nasz zagłębiony w mroku cieniśtej Głębokiej drogi, popod arkadą śmiało rzuconego mostu, ujrzy w silném oświetleniu sielankowe ustronie Mokratek.

Droga przez Mokratki wiodąca, odznacza się niebotycznością drzew, któremi jest kilkorzędnie obsadzona. Drzewami temi są po większej części najpiękniejsze odmiany drzew rozmarynowych, którym wilgotny pokład nadwiślański nadaje wzrost olbrzymi i kształty nieporównane.

Drzewo to tak niemiłosiernie kalęczone obcinaniem odrośli, drzewo, które zmuszamy przybiierać kształty koliste, wtenczas gdy przyroda nadała mu najwspanialsze formy i niezwykłą bujność, skoro je wolno puścimy, prawdziwą staje się ozdobą.

Tą wspaniałą posuwając się aleą, wjeżdżamy do



PALACYK W NOJWÉ ALEKSANDRYI.

lecz każdego uderzyć musi zmiana w jej charakterystyce od ujścia Wieprza.

Odtąd brzegi jej zwolna po obu stronach zaczynają się piętrzyć, zaokrąglać w mile oku pagórki i geologicznie inną przedstawiają formacją.

Pod Nową Aleksandryą rafa wapienna ustala jej brzeg, pozwalając na pewnej już podstawie rozwijać się coraz więcej handlowej osadzie, do której przytykająca droga bita, przeciąga do siebie handel zbożowy i drzewem, niegdyś tak kwitnący w Kazimiérzu.

Miejscowość ta jest obecnie skieletem ledwo niegdyś zamożnego grodu, ongi przedmieścia Gdańska, w którym żyzne niwy lubelskie, wołyńskie i podolskie nawet, niezliczoną ilość pszenicy zsypywały; lecz droga ta handlowa upadła, z otworzeniem portu w Odessie, i tylko malownicze ruiny spichrzy w peł-

Droga wiodąca do Kazimiérza, pełna jest uroku i niespodzianek.

Nowa Aleksandrya leżąc na dość wyniosłym wzgórzu, oddzielona jest od okalających ją gruntów parowem, który umiejętnie zużytkowano dla oddzielenia ogrodu. Parowem tym spuszcza się droga do Kazimiérza.

Zaledwie wyjedziemy ze wspaniałej alei odwiecznych lip i klonów, zagłębiamy się w ten parów; i ukazuje nam się wspaniała most kamienny, śmiało rzucony ponad drogą, za pomocą którego łączy się część przechadzkowa parku, z częścią owocową i warzywną, noszącą nazwę Zalinek.

Droga ta, Głęboką zwana, pełna jest uroku. Mury ją okalające, mchem, winem dzikiem i cierniem wirgińskim obrosłe, nadają jej cechę malowniczości nie-

rozrzuconego lasu sosnowego, z pośród którego wychyla się uroczy pałacyk Marynki zwany, przez zarząd ekonomiczny miejscowy zajęty, którego rycinę tu obok dajemy.

Pałacyk ten wznosi się na lekkim wzgórzu ładnie udarniowaném, nad samym brzegiem łacy, czyli odnogi Wisły, oddzielającej park od kępy, jak wszystkie nadwiślańskie kępy bogatęj w olbrzymie sokory, najpyszniejsze pastwiska, łąki i grunta nieporównanej dobroci.

Kępa ta stanowi jeden z pięknych folwarków klucza końskowolskiego, a że przytyka tuż do parku, budynki na niej gospodarskie i domy mieszkalne tak zostały wystawione, iż zarówno odpowiadają przeznaczeniu swemu ekonomicznemu, jak estetycznością form swoich zdobią krajobraz.

Idąc brzegiem opoczystej góry, u stóp której ła-cha płynie, niewszędzie swobodnie wzrokiem sięgać możemy. Owszem, strome to, skaliste wybrzeże, od spodu gęstą roślinnością pokryte, obsadzone zostało u szczytu najpiękniejszymi krzewami krajowymi i egzotycznymi, tak iż nieraz plantacje te zupełnie nas w ciemności tajemniczej pogrążają. Lecz zasłona ta przerywa się gdzieniegdzie i jak fantasmagoryczne obrazy, przesuwają się przed naszym wzrokiem coraz to nowe widoki.

Tu spostrzegasz pyszny taras, od stóp instytutu aż do brzegu Wisły spadający, na którym stoją rozrzucone mchem obrosłe wiekiste dęby i niebotyczne kasztany. Dalej widzisz kiosk chiński, grupy z marmuru kararyjskiego mistrzowską ręką rzeźbione; a gdy pod zasłoną zieleni postąpisz jeszcze kilka-

umieszczanie licznych inwentarzy. Ponieważ gęsto pokryta jest łożyną, z pośród której wystrzelają olbrzymie sokory, bydło więc pasące się tutaj, rozchodzi się w różne strony i pastuchy niełatwo je zebrać mogli. Chcąc przeto ułatwić sobie robotę, chwycono się zwyczajów alpejskich. Pasący opatrzeni są wielkimi ligawkami, na których pociągłymi tony przygrywają. Przyuczone do nawoływania tego inwentarza, wolnym krokiem wychylają się z zarośli, i gromadząc się na łące rozciągającej się u stóp gęstwin lasu, zdążają do swych obór. Odgłos tęskny ligawek łączy się z brzmieniem dzwoneczków w jakie bydło jest opatrzone, w akord nieporównanie wdzięczny, którego uroczność podnosi jeszcze tajemniczość oddalenia, falowanie tonów raz wydatniejszych, to znów gasnących, stosownie do powiewu wiatru.

siącem wijących się roślin zdobny; niżej sekate pnie odwiecznych sokor, których wierzchołki liściem stóp swych dosięgają; dalej przyświecła prześliczna budowla pośród oceanu zieleni. Odłamy przedpotopowych granitów, jakby pracą tytanów zwalone w malowniczym nieładzie, służą niby za podporę temu gmachowi; dalej za łąką obszar najpiękniejszej łąki, na której spostrzegasz różnobarwne bydło; a dla uzupełnienia tego miłego krajobrazu umiejętnie zarządzone wycięcia pośród gęstwin lasu na kępie utworzyły wklęsłość, w której głębi, jakby w olbrzymich ramach ciemnej roślinności, przedstawiają ci się w fioletowych barwach, zachodzącym słońcem oświetlone ruiny zamku i wieży w Kazimierzu, których złocista białość jasno odbija się na tle mdławym i zwykle już zaciemnionym horyzontu prze-



WIDOK NA KĘPĘ I NA KAZIMIERZ.

dziesiąt kroków, skromna ławka do spoczynku cię zachęci. Lecz jakżeż to miejsce malowniczo obranem zostało! Umiejętnie pozostawiona luka dozwala ci sięgać wzrokiem zataczającej się w mglistym oddaleniu Wisły, na której lewym brzegu wznosi się śliczne mieszkanie w Górze Puławskiej i mурowany kościół na pagórku.

Pałacyk ten wystawił niegdyś major Orłowski. Z tarasu jego malowniczo przedstawia się osada Nowej Aleksandryi, bieg Wisły z zasłoną gór Parchatki, kępa i na ostatnim planie ruiny Kazimierza.

Przechodząc wieczorem tą stroną parku, doznajemy uroku niezwykłego.

Kępa, jakśmy wyżej rzekli, stanowi jeden z pięknych folwarków klucza końskowolskiego a obfitując w bujne pastwiska, głównie przeznaczona jest na

Niespodziana ta harmonia, upotęgowana jeszcze wpływem uroczym wieczora, przejmuje jakimś wrażeniem niezatartem rzewnej tęsknoty, której pamięć nieprędko się zacięra. Dusza rozkołysana temi wrażeniami, czulszą się staje na pojmanie piękna i sposobniejszą do przejęcia się cudnym widokiem, jakim za chwilę ma się napawać.

Gęsty cię kłęb otacza, i z wysileniem śledzisz, z kąd dochodzą te niezwykle akordy, te jakby brzmienia harfy eolskiej, te ossyaniczne, czy alpejskie echa, aż wtém zasłona się przerywa, i od razu u stóp swych spostrzegasz czystą, szybę szerokiej łąchy, olbrzymami nadwiślańskimi ocienioną, po której lśniące smugi ukradkiem przedziurawiających się zachodzącego słońca promieni, złotem trzęsące światelka rzucają. Tu widzisz skalisty brzeg malowniczy, ty-

ciwległego zachodowi.

Widok ten jest nieporównany. Słabe jego naśladownictwo osmielać się tu przedstawić.

Jadąc dalej ku Kazimierzowi i minawszy Marynki, wjeżdża się do wsi parafialnej Włostowic. Posiadłość ta odznacza się wykwintnym porządkiem, ładnymi ogródkami starannie utrzymywanymi i wybornymi owocami, które to zalety prawdziwie wzorem ją czynią. Po lewej stronie Włostowic, ciągnie się w niejakiem oddaleniu pasmo wzgórz zarosłych różnorodnymi krzewami, poprzerzynanych głębokimi wąwozami, które im bardzo malownicze nadają piętno.

Bo istotnie wąwozy w Lubelskiem, pośród wzgórz z opoki i gliny złożonych, spadem wód wyżłobione przedstawiają nam wąwozy gór prawdziwych, z tą

różnicą że zamiast skał niepożytych, ściany ich tworzy miękka opoka lub ścisła glina, których kształty zmieniają się często z powodu roztopów śniegowych i nawałnic, lecz które niemniej są malownicze, łącząc w sobie rozmaite kształty z roślinnością bujną i różnorodną.

Najwyższą potęgę piękna w tym rodzaju przedstawia wieś Parchatka, rozrzucona na samym krańcu wysokiego wzgórza i poprzerzynana głębokimi parowami, których odłamy ścian kolosalne przedstawiają rozmiary.

Kręta ścieżka pośród tych rozpadlin i urwisk, prowadzi do szczytu góry, z której wspaniały rozwija się widok. Z pomiędzy pni lasu sosnowego i grabowego, z umysłu w tym miejscu przerzedzonego, spostrzegamy bieg Wisły i coraz wyżej piętrzące się góry, aż ku Kazimiérzowi; naprzeciw dość wyniosły brzeg lasem okryty i wieś Nasilów, jakby przylądek jaki na stromym i ostrym urwisku wsuwająca się do Wisły, a zdala wychylają się ruiny Janowca.

Widok ten trudny jest do zdjęcia, bo zaletę jego stanowi przeciwieństwo tonów, harmonia półcieni i barw różnorodnej mozaiki pól i krzewów pokrywających wzgórza, tony białawe wapiennych opok, na których sterczą zwaliska Kazimiérza i Janowca, oraz horyzont mgławki oddalenia, w którym gubi się coraz to mniej widoczna Wisła.

Droga od Parchatki do Kazimiérza biegnie tuż pod stopami wzgórz nadbrzeżnych i wysadzona jest aleą topolową, która nadaje jej piętno niezwykle. Wzgórza te są jakby niemymi świadkami szerokiego kiedyś łożyska przedpotopowej Wisły i stanowią w tej okolicy granice jej panowania.

Że istotnie w przedhistorycznych czasach nurty jej mogły szerzej ściekać, dowodem tego muszle oficie napotymane u podnóża wyższych pagórków i w szczątkach osteologicznych zwierząt przedpotopowych, znajdujących w gruntach, obecnie brzegi Wisły stanowiących.

Piękne te okazy zebrał jeden z uczonych profesorów instytutu.

Czy wiedziony przecuciem, czyli też wskazaniem nauki, po jednym ze znaczniejszych wylewów udał się na eksplorację brzegów oberwanych i bogate zebrał żniwo. Gdzie się obecnie te okazy znajdują, nie wiem, lecz pewnie zmarnowane nie zostały...

Wycieczka na Łomnicę tatrzańską

26 lipca 1865 r.

(Dalszy ciąg.)

Przez całogodzinny prawie przeciąg czasu byliśmy zajęci zbieraniem drobnych owadków, na których swobodę nikt pewnie się nie targnął, odkąd Łomnica istnieje. I Wala chętnie pomagał przy naszych łowach, przynosząc coraz to śliczniejsze chrabąszczyki. Napotykalimy tu wiele jeszcze drobnych muszek, na które niedarmo zaczajony i tutaj rozbójniczy łośnik (*Asilus*) czatuje. Z motyli dziennych wlatują jeszcze do tej wysokości trzy bielinki (*Pieris napi*, *rapae*, *brassicae*) i rusałka (*Vanessa urticae*) a z drobnych motylków (malowców) tantnik (*Plutella cruciferae*).

Najwięcej przedstawicieli liczy stosunkowo dział chrabąszczy. Żyją tu jeszcze malutkie dwiema białymi prążkami wzdłuż czarniawych pokryw znaczne susówki (*Haltica undulata*, *sinuata*, *vittula*), czarny jak węgiel o twardych pokrywach nadrach (*Otiorynchus tatricus* mihi), istny mieszkaniec granitów; ukochana na Rusi, wieszca zazulka, czyli jak ją lud tutejszy zwie, biedronka (*Coccinella septempunctata*) wraz ze swą młodszą siostrzyczką (*C. quinquepunctata*), oraz smętny plug (*Aphodius alpinus*). Między szczylinami głazów w żwirze wilgotnym, z odrobinką czarnoziemu zmieszany, uwija się w nędznym mchu wiele jeszcze żyłateczek, któremi się żywią z kusaków (*Staphylinidae*) odkryte przezemnie: *Homalota analis* Er., *tibialis* Heer, *gagatina* Baudi, *Mycetoporus lepidus* Grav., *Philonthus* Grav., *Platystelhus morsitans* Payk., *Oxytelus nitidulus* Grav. Z innych rodzin napotykałem tu także: *Phalacrus corruscus*

Payk., *Corymbites cupreus* F., *Cantharis atra* L., *Malthinus biguttatus* Payk., *Malthodes flavoguttatus* Kiesw., *Cistela murina* L., *Orchesia minor* Walk., *Balaninus cerasorum* Hbst., *Haltica oleracea* L. psująca jarzyny po naszych ogrodach, *Plectroscelis concinna* Marsh., *Scymnus discoideus* Ill.

Mijała już dobra godzina; myśmy jednak, zajęci nader korzystnym zbieraniem, zaledwie uwierzyli że pierwsza się zbliża. Więc już dwie godziny bawimy na szczycie? Wala mówi: „Juz cas schodzić, bo jak się desc do mgły psują, to bięda będzie zlaźić!“ Zupelną też miał słuszość, bo mgły coraz bardziej gęstniały. Wala budzi Janusza, który widać niebardzo ochotnie uchwywszy za zmięty kłobuk, poprawiał malowniczo połatany dołman. Reszta naszego towarzystwa, dotąd w najlepsze drzemiąca, zaczyna się także ruszać, a po kilku już chwilach gwaro było na szczycie Łomnicy. Niedokończona połowa górskiego obiadu szybko znikła w ósmiu ustach, znikły i reszty tokajskiego wina, z którym praktyczny Janusz, jako z niepotrzebnym ciężarem, łatwo się uporał. Zabrzącały tylko kawałki flaszki rozbitej na cześć Łomnicy. Krzepił się każdy z nas, jak i czem mógł; kilka kropli araku na cukrze miały u nas pierwszeństwo przed winem, nie osłabia to bowiem sił, a gasi pragnienie. Wala najdoświadczniejszy przewodnik, ceni przedewszystkiem herbatę, która w samej rzeczy w górach najlepszym jest napojem, wzmacniającym i pożywnym. Tatry mają odrębne prawidła kuchenne. Dość na tym, że każdy z nas był jako tako nasycony, a niektórzy nawet i trochę podochoceni. Janusz z piersi przepełnionej wrażeniami 112-tęj wycieczki na Łomnicę, wydobyl chropawe, niby granitowe tony i zachuczał jakąś piosnkę węgierską, którą wtórujący mu Węgrzy licznymi „eljen“ przerywali. Uleciało jeszcze kilka piosenek na Podhale z wiatrem, co uporne mgły przepędzał.

Wtém: „Schodzimy panowie!“ zawołał Janusz i nie puszczał nikogo naprzód, nawet i drugich przewodników, nad którymi, zarówno jak nad nami, rozciągnął prawo zwierzchnicze.

„A tamtędy czy można?“ zagadujemy Janusza, wskazując na przeciwną ścianę żlebu.

„W żaden sposób, ni! — odpowie nasz wódz, — zamną sem tylko!“

Wala tylko jakby na przekór, udał się milczkiem w owę stronę, by trochę ukrócić zarozumiałość Janusza, któremu widać nie pomyśli śmiałe skoki sławnego spółzawodnika.

Przychodzimy nad sążnistą ścianę, ostatnią trudną do wnijscia, a pierwszą do zejścia. Tu dopiero przypomniałimy sobie że schodzimy, a schodzenie jest w górach niekiedy stokroć mozolniejsze, niż wnijscie, albo może i łatwiejsze, bo doznawszy wypadku, wnet można być na dole. Teraz też byliśmy mogli popatrzeć w bezdenną przepaść pod nami; ale szczęściem mgła zakrywała ją oczom naszym i wolno nam było być w uludzie, iż niema pod nami otchłani. O, wielki tu trzeba baczości, idzie bowiem o Hamletowe być albo niebyć, rozumić się... dziś w Szmeksie.

Schodzi więc naprzód przewodnik, a my za nim ostrożnie opieramy trzęsące się nogi na opuszczonych przezeń wystających głazach. Zwróceniu twarzą ku przepaści, grzbietem ciśniemy się silnie do niekoniecznej gładkiej ściany granitu, a zarazem rękoma imamy się wystających po bokach zaczepów. Jak przedtém ręce i piersi przy włożeniu ustawicznie pracowały, tak teraz główną rolę odgrywają nogi. Na mniej niebezpiecznych ustępach najwygodniej nam było się zsuwać; czasem atoli i na niedostępnych miejscach łatwiejszym było sankowanie, niż trwożliwe drapanie się. Rozumić się, że przy tych górsko-gimnastycznych posuwach pewna część odzieży nie może silnego wytrzymać napięcia i musi koniecznie spłacić dług takiej wycieczki; ale mniejsza o to, na takie drobiazgi niema tu czasu zważać.

Stłumiona odwaga odżyła w nas po chwili, a ja nawet wyznać mogę, że sem się natenczas czuł może najsmielszym. Dobre bowiem nogi i przytomność umysłu nie pozwalają nawet przypuszczać możliwych przypadków. Zawrót tylko głowy i nieuwaga stać się mogą przyczyną smutnych następstw. I naniestety mieliśmy pośród siebie Węgra, co cierpiał trochę na tę słabość. Gdyśmy już prawie

wszyscy spuścili się ze stromej ściany, on sam jeden został na krawędzi, a nie mogąc odrazu znaleźć nogami zaczepu, byłby zupełnie stracił przytomność gdyby mu nie pomogli obaj przewodnicy. Najsmieszniej wyglądało, gdy jeden z dołu za nogi, a drugi u góry za ręce pochwytywszy biędaka, chwilę rozkrzyżowanego trzymali w powietrzu nad przepaścią i gwałtem zwlekali na ustęp wolny.

Im niżej, tēm łatwiej spuszczałyśmy się, a na komendę Janusza sankowaliśmy się pociesznie jeden za drugim, tak że tylko żwir granitowy i drobne kamyki z łoskotem zpod nas w przepaść się sypały. Wszystkich oświadczyła wesołość, nie wyjmując nawet i biednego Węgra, na którego twarzy niedawno śmiertelna osiadła bladeść. Któs zanucił marsza, dalej szła urywana piosenka, a komuś nawet przyszła myśl, że fotografia grona naszego, właśnie w tych najpocieszniejszych postawach naszych, byłaby bardzo zajmująca.

Wnet ujrzeliśmy się na bezpiecznych choć ruchliwych piorgach; wzięliśmy się trochę w prawo, zdążając po złomach granitowych ku Łomnickiej Przełęczy. Teraz już nikogo nie zmuszało niebezpieczeństwo, by się trzymał innych; każdy szedł swoją drogą, kędy mu było najlepiej. Ja, Wala i jeden z Węgrów pozostaliśmy w tyle, zajęci zbieraniem roślin halnych i chrabąszczy; daremnie niespokojny Janusz oglądał się co chwila za nami. Na Łomnickiej Przełęczy zesłiliśmy się wszyscy na krótki wypoczynek, reszta bowiem drogi wymaga sporo sił jeszcze, bo do podnóża Łomnicy tęgi kawał a mgły coraz więcej się zbijały, coraz gwałtowniej tłoczyły w głęboką dolinę Kolbachu. Uchodźmy czempredzej przed deszczem! Otóż i już zaczyna kropić!

Chyżo przeszliśmy przez ruchliwe piorgi, na zielone zdradliwe upłyzy; darmo bodła mnie chęć odwrócenia kilku kamyków; trzeba było pośpieszać, bo w samej rzeczy deszcz coraz większy się puszczał. Niebezpiecznie zaś w górach, jeśli deszcz spłucze szorstkie granity i pomocy trawniki halne; wtenczas ślizko wszędzie i zbyt łatwo można się wywrócić. Trzeba wtenczas wielkiej ostrożności za każdym krokiem, aby potrzebną utrzymać równowagę. Roślinność nader bujna w krainie halnej, nie spasana przez trzody dla niedostępnych turni, pokrywa zwykle granitowe piorgi, których trudno z pod zieleni dopatrzeć. Upłyzy takie bywają na najpochylszych zboczach gór i zdają się pozornie mówić za największą bezpieczeńścią; ukryta jednak rzeczywistość daje się tu nieważnym, osobliwie w czasie śloty, najdotkliwiej uczuć. Kilku z nas doświadczyło tej nieprzyjemności.

(Dokończenie nastąpi.)

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Paryż w sierpniu.

Korespondenckie kombinacje. — Pożar w Hallach. — Śmierć *Vienneta*. — Śmiieszność niezawsze zabija. — Romans z królową. — Estagielskie osły. — Karyera *Vienneta*. — *Dumas* syn; nowe jego dzieło wydanie. — Przedmowy jako historia literackich utworów. — „Syn naturalny.“ — Portret młodego autora. — Sąd syna o ojcu. — Naiwność starego *Dumasa*. — Zdanie *Dumasa* syna o *Scribe*'m. — Literacki helotyzm. — Alfons Karr.

Pomimo że stolica Francji pryncypalnych swoich mieszkańców wyprawiła do wód i na morskie wybrzeża, pomimo że zgromadzenie prawodawcze rozjechało się do domów i główniejsze teatru się pozamykały; miesiąc upłyniony jest wcale nie ubogim pod względem wypadków należących do kategorii kronikarskiej. Nasunęło się niemało zdarzeń rozmaitych — śmiiesznych, poważnych, okropnych, skandalicznych. Sprawozdawca zakłopotany jest, z którego końca zacząć. Kłopot ten wszakże odnosi się nie do jego własnej osobistości, lecz do szerokiego koła czytelników, dla których się pisze. Czy ich, to jest czytelników, najprzód przerazić, potem rozśmieszyć, dalej oburzyć, następnie rozrzewnić? czyli też inny obrać sobie porządek? Kombinacyj pod tym względem przedstawia się mnóstwo i niewiadomo którą wybrać. Ażeby się przeto fakta nie zmarnowały, nic innego nie pozostaje, jak pisać co się pod pióro nawinie.

Nawija się najprzód rzecz okropna — pożar. Trudno sobie coś okropniejszego wyobrazić.

Dwa żywioły posiadają własność niszczenia pracy ludzkiej: woda i ogień. Ale woda jest łaskawszą: niszczy to tylko co się w niej rozplywa, a resztę zabiera jednemu, daje drugiemu. Ogień zaś zabiera nikomu nie dając i zostawiając po sobie sypki popiół i cuchnące zgłiszczca, przydatne jedynie do rozmyślenia nad znikomością rzeczy ludzkich. Pożar więc jest okropnym w najobszerniejszym tego wyrazu znaczeniu, okropnym, i zarazem, jako dzieło doszczętnego zniszczenia, ciekawym do oglądania.

Ciekawość tego rodzaju mieli Paryżanie sposobność zaspokoić w dniu, jeżeli się nie mylę, 10 lipca r. b. Widowisko było wspaniałe. Kłęby dymu i miliony iskieł, ogniotryski i płomienne słupy wyskakiwały do góry wśród łomotu, trzasku, wrzawy, a w dół od czasu do czasu, niby przejrzały owoc z gałęzi, spadał człowiek i ginął w zarzewiu. Ogień nie dał się z łatwością opanować. Palił się bowiem budynek pełen palnych materiałów — Halle (krytatar-gowica); osiemdziesiąt tysięcy kilogramów masła podsycało ogień, któremu jako pastwa służyły kury, koguty, indyki, kaczki, gęsi, króliki, jaja i różne leguminy i jarzyny. Musiał być ogień mocny, kiedy żelazne topił sztachety, musiała być wrzawa wielka, kiedy zgiełki ludzkie mieszały się z krzykami skrzydlatych ofiar w płomieniach ginących. Pożar rozpoczął się o 10 wieczorem, a o 3 rano już był stłumiony — i powracający na targ ze świeżymi zapasami przekupnie i przekupki zastali już dzieło zniszczenia. Wielu z tych żywicieli Paryża potraciło tam majątki. Według ogólnego, przybliżonego obliczenia, przekupnie w tym pożarze ponieśli straty na 500,000 franków, zaś miasto Paryż na 600,000. W przeciągu więc godzin pięciu poszło z dymem około miliona stu tysięcy franków i zruinowanych zostało ze szczętem kilkadziesiąt ubogich rodzin. Dla Paryżan był to spektakl, który przez całą noc miał widzów, uszczęśliwionych iż mieli widowisko bezpłatne.

Równocześnie ze zgaśnięciem ognia w Hallach, zgasł w Paryżu starzec, którego życie jest zaprzeczeniem tej uznanej we francuzkim zwłaszcza świecie prawdzie, że śmieśność zabija. Gdyby doprawdy zabijać miała, nieboszczyk *Viennet* byłby nie dożył dziewięćdziesięciu z górą lat i nie byłby umarł jako członek grona „nieśmiertelnych.“ Spotkał go zaszczyt największy, jaki śmiertelnika piszącego i płody pióra swego drukowi powierzającego spotkać może: był członkiem akademii i w ostatnich czasach uważano go i szanowano, jako dziekana francuzkich literatów. To jednakże nie przeszkadzało, że ten człowiek przez cały ciąg długiego swego życia był przedmiotem żartów i wyśmiewań. Ażeby się o tym przekonać, dość przerzucić roczniki *Charivari*. *Viennet* zajmuje tam miejsce poczesne, z powodu mnogości karykatur i przycinków jego osobistości poświęconych. Oprócz *Charivari*, każde niemal z żartobliwych pism miało sobie za obowiązek nie zapominać o *Viennecie*. Sam o sobie powiadał: „Obliczono, że wypadło na rok do pięciuset epigramatów skierowanych przeciwko mojej osobie, mojej twarzy, moim poezjom, moim mowom, memu kosmykowi niesfornych włosów i memu zielonemu surdutowi. Każdy co się ze szkoły wyrwał i do jakiegoś felietonu przechodził, poczuwał się do obowiązku na mnie nasamprzód wierząc.“ Jednym słowem żaden z Francuzów, nie wyjmując ministrów za czasów Ludwika Filipa, kiedy nie nie ciężyło na przeczczystych skrzydłach dowcipu francuzkiego, nie był tak wyśmiany i ośmiany jak *Viennet*, autor licznych poematów epicznych, tragedj, komedj, dramatów, oper, romansów, listów, satyr, akademickich mów, bajek, biografj, artykułów przeglądowych i gazetarskich, mów politycznych, epigramatów i t. d., żołnierza i polityk, par Francji i członek akademii, osobisty przyjaciel Ludwika Filipa i spółzawodnik króla mieszczanina. Pod tym ostatnim względem znalazłem dwie anegdoty odnoszące się do nieboszczyka, których powtórzenie odmaluje go lepiej, aniżeli najdłuższy opis. Ludwik Filip miał zwyczaj przechadzać się po Paryżu z parasolem w ręku — i *Viennet* nigdy inaczej nie udawał się na posiedzenie, jak omnibusem i z parasolem w ręku. U nieboszczyka króla Francuzów, w oznaczonych dniach tygodnia, zbierały się wieczorem znakomitości, w których towa-

rzystwie król się lubował. W liczbie tych wybrańców znajdował się *Viennet*, a należał on do rodzaju tych ludzi, co to lubią prowadzić rozmowę, nie zważając czy ona kogo interesuje, czy nie. Ludzie tacy, zwłaszcza poważni, którym szacunek się należy, są plagą na człowieka co w ich ręce się dostanie. Na Ludwika Filipa plaga ta często spadała ze strony *Vienneta*; król wywijał się mu jak mógł, lecz niezawsze z powodzeniem. *Viennet* tak manewrował, ażeby mu zastąpić we wnęce okna i wówczas ucinął parogodzinną gawędę, od której Ludwika Filipa i nogi bolały i poty obléwały. Doszło to do tego stopnia, że się król poskarżył przed królową i ta przysłała mu z pomocą. Wyszwoleńczyła go od *Vienneta* raz, drugi i trzeci, a wyswoleńczyć nie mogła inaczej, tylko przez ściągnięcie plagi na siebie. *Viennet*, zamiast z królem, prowadził gawędę z królową, słuchającą go z cierpliwością, którą on, w prostocie własnego przekonania, wziął za zajęcie. Trwało to przez jakiś czas. *Viennet* przyzwyczaił się do rozmów z królową, posmakował w nich i — nagle... straszliwa myśl przychodzi mu do głowy. Wydaje się mu, że królowa w nim się rozkochała. Myśl ta odbiera mu sen, apetyt, humor i nabawia go melancholii, nie dlatego że kobieta co się w nim kocha jest królową, ale że jest żoną jego przyjaciela. *Viennet* był człowiekiem sumiennym, więc nie uważał za rzecz godziwą odkochać żonę przyjacielowi. Jednakże, jak zwykle w podobnych razach się zdarza, nad perswazyą i nawet nad sumieniem bierze górę coś... może próżność — i nasz par i akademik, z parasolem w ręku, począł dnie spędzać, jak hiszpański *cabaleros*, naprzeciwko okien damy swoich myśli. Sumienie wszelako nie przestawało go gryźć, dlatego może, że, jak na amanta, był trochę zastary, liczył już bowiem z górą sześćdziesiąt lat. Więc wzdychał, miał mię bardzo smutną i oczy ku oknom zwracał. Postrzegła to królowa i postrzeżenia swego udzieliła królowi; poczęto dochodzić przyczyny i... tajemnica się wydała. *Viennet* zwierzył się przed kimś, co był na niego przez króla i królową nastawiony, że mu... serdecznie żał Ludwika-Filipa. Łatwo sobie wyobrazić, jaką to wyznań i uciechą stało się dla dostojnych małżonków.

Viennet był zapamiętałym nieprzyjacielem wolności druku, przeciwko której przy każdej występował sposobności; był oraz przeciwnikiem nowego kierunku literatury, jaki nadany ję został przez szkołę romantyczną. Jako prozaik i poeta żył w wiekach upłynionych, trzymając się wytrwale wzorów klasycznych. Z tego powodu życie jego upływało w ciągłej walce, która się toczyła tak na polu piśmiennictwa, jakoteż przed kratkami sądowymi, po salonach, domach zajezdnych, przechodząc nawet często granice przyzwoitości. I tak naprzykład *Trybuna* napisała o nim (w r. 1833) że ma stosunki z kasyerem funduszów tajemniczych. *Viennet* pozwał ją przed izbę deputowanych. Rozprawy były żywe; udział w nich brali *Armand Marrast* i *Godefroy Cavaignac*. Koniec końcem *Trybuna*, w osobie swego żeranta, skazaną została na 10,000 franków kary i trzy lata więzienia. *Viennet* tryumfował, lecz gorzko tryumf opłacił. Wkrótce potem w *Estagel* zjechał się przypadkiem ze *Stefanem Arago*, młodym podówczas człowiekiem. Ten, dowiedziawszy się o pobycie wroga wolności druku, natychmiast zjawia się z kilku innymi młodymi ludźmi, wynajmują wszystkie osły jakie można było w miasteczku zgromadzić, spędzają je pod okna hotelu w którym *Viennet* nocował i wyprawiają mu olbrzymią serenade. Od tego czasu *estagelskie* osły stały się symbolem zapamiętałego klasyka. Karykaturzyści przyjęli zwyczaj nie karykaturować go inaczej jak w towarzystwie osłów, a często nawet w osłej postaci. To wszakże nie zbijało go z tropu. Szedł swoją drogą wytrwale; piorunował przeciwko wolności druku, holdował klasycyzmowi i stał się głową szkoły, zajmującej stanowisko pośrednie pomiędzy romantyzmem a klasycyzmem. Utwory jego odznaczają się poprawnością języka i dowcipem, którym jątrzył przeciwników. Jednakże umiał ocenić wartość nowych pisarzy i sprawiedliwość im oddać. Kiedy akademie wotowała na *Wiktora Hugo*, głosy się podzieliły na dwie równe połowy; jedna za, druga przeciw autorowi *Notre Dame*. Brakowało głosu *Vienneta* i ten dał krótką „za.“ Głowa szkoły romantycznej,

wprowadziła do świątyni nieśmiertelności głowę szkoły klasycznej.

Śmierć *Vienneta* stała się powodem pewnego zdziwienia. Żył lat dziewięćdziesiąt jeden i tak się przyzwyczajono do tego że żył, że się wydawało, że lata jego przedłużą się w nieskończoność. Działalność jego rozpoczęła się przy schyłku przeszłego stulecia, najprzód na polu politycznym. Wstąpił w szranki życia publicznego, jako prezydent klubu młodzieży, następnie w r. 1796 w stopniu porucznika wszedł do morskiej artylerji, i po wyzwoleńniu się z angielskiej niewoli, przeniesionym został do armii lądowej. Po bitwie pod Lipskiem powtórnie dostał się do niewoli. Sił swoich literackich próbować zaczął na angielskich pontonach, a kiedy armia angielska ruszała na wielką wojnę 1812 r., przechodząc przez Paryż wyprosił sobie parodniowy z pułku urlop, w celu odczytania komedyantom cesarskim tragedji pod tytułem *Cloris*. O tej tragedji jeden z członków komitetu miał się wyrazić, że młody oficer lepiejby zrobił, gdyby ją, zamiast aktorom, czytał nieprzyjacielowi przed bitwą.

Ten człowiek ośmiany posłużyć może za wzór wytrwałości. Szyderstwa odbijały się od niego jak groch od ściany. Nic sobie z niczego nie robił, nawet się zbyt nie martwił, czego dowodem jest późny wiek którego dożył. Nieboszczyk był wielkim mistrzem masonów francuzkich szkockiego obrządku i oparł się dekretowi, który ten obrządek chciał połączyć z lożą wielkiego wschodu. I na tém więc stanowisku toczył walkę. Lecz nareszcie... uspokoił się na wieki. „Obyż muziemia była lekką!“ Do wspomnienia o nim dodać jeszcze potrzeba jedną wzmiankę. W ciągu długiego swego, nieustanną walką zapełnionego żywota, miał mnóstwo przeciwników, ale nieprzyjaciela nie miał ani jednego. Pochodziło to ztąd, że był człowiekiem prawym.

Skończywszy o umarłym, przejdę do żywych. Nasuwają się mi pod pióro nazwiska w liczbie niemałej i z pomiędzy tych nazwisk, na chybił trafił, biorę pierwsze lepsze z brzegu, którym jest: *Alexander Dumas* syn.

Dumas syn należy do tego rodzaju autorów, co to usuwają się na jakiś czas w cień, robi się około nich cisza, i nagle z ukrycia, niby raca wyskakują. W upłynionym miesiącu przez ciąg paru tygodni, *Dumas* syn zajął sobą uwagę publiczną. Nie wyłączenie, ale przedewszystkiem o nim myślano, mówiono i pisano. Nie wystąpił jednakże z żadnym nowym utworem. Powodem tego zajęcia stało się nowe wydanie jego dramatycznych dzieł, do których podorbiał przedmowy. Właściwie więc przedmowy poruszyły zajęcie, w nich bowiem opowiada historją każdego swego utworu i wypowiada zdania, odnoszące się do rozmaitych przejawów społecznego życia i ludzkiego umysłu. Każda z przedmów stanowi odrębną całość i jest osobną literacko-filozoficzno-społeczno-polityczną rozprawą, pełną poglądów świeżych, myśli głębokich, fajerwerków retorycznych i sądów za wnętrzości targających. Jest to rzecz nowa, ciekawa i pouczająca.

Podług mnie każdy utwór, każdego najbardziej nawet tuzinkowego pisarza, ma swoje historją, której umiejętne opowiedzenie pozwoliłoby wnikać w niejeden tajnik żywo ogół obchodzący. I nie byłoby to rzeczą nieużyteczną, — przeciwnie. Przez literaturę, a zatem przez literatów, spowiada się pokolenie społeczne przed potomnymi. Potomne pokolenia mają przed oczami spowiedź, lecz nie mają warunków, wśród których się ona odbywała. A jest to, według mego zdania, brak ogromny, któremu zapobiedz mogłaby historją celniejszych przynajmniej utworów, opowiedziana sumiennie przez samychże autorów.

Ale... czuję, że niechcący dotknął przedmiotu, sprawiającego w palcach ochotę do pisania, podobną do tej ochoty, jakiej ludzie młodzi doznają w nogach, gdy usłyszą mazura od ucha zagranego. Muszę przeto zatrzymać się póki czas i nawrócić do skromnego sprawozdania.

(Dokończenie nastąpi.)



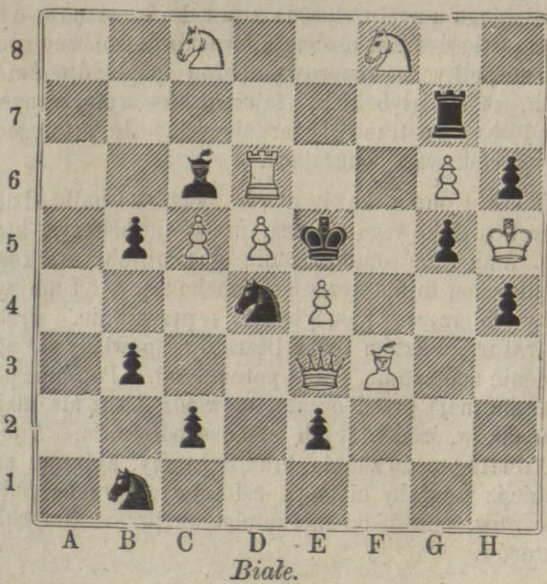
POŻAR NA SOLCU W WARSZAWIE, dnia 14 sierpnia r. b. (Rysował z natury Gerson)

Szachy.

ZADANIE XXVII.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 26.

Białe.

Czarne.

- | | |
|----------------------|-------------------|
| 1) D3-F1 † odkryty | 1) E3-B4. |
| 2) E6-C5 † | 2) E4-D5. |
| 3) C3-C4 † | 3) D5-C6. |
| 4) C5-A4 † odkryty | 4) C6-D7. |
| 5) F1-H2 † | 5) F2-F5 †. |
| 6) C4-B5 † | 6) B8-C7 † i mat. |

POŻAR NA SOLCU

dnia 14 sierpnia 1868.

Nie nowa to rzecz pożar w Warszawie. Stary gród pamięta nie jedną krwawą łunę, słyszał nie jeden okrzyk grozy i przerażenia, gdy z jego łona płomień niszczący wzbil się ku niebu. Bywały przecież czasy, że pożary niszczyły całe dzielnice miasta, ale to już dawno, bardzo dawno. W żywszej pamięci Warszawian zachował się przedewszystkiem obraz zniszczenia, jaki zaległ po strasliwym pożarze zabudowań młyna parowego przed kilkunastą laty.

I któż nie widział wówczas walących się z trzaskiem i skwierczeniem gruzów, które przed chwilą nieledwie spoczywały w pełnym porządku układzie ścian, osłaniających systematyczną, ciągłą, sumienną pracę?... Ogromny plac fabryczny, pełen zabudowań, zaległ ruiną dymiących się zgliszcz. Sterty piętrowe zboża i drzew kosztownych, nagromadzonych z wielkim nakładem, wszystko to paliło się kilka tygodni płomieniem, porzucone na jego pastwę, gdy już nadzieja ocalenia zginęła. A co noc niebo się nad Warszawą czerwieniło, co dzień buchały kłęby dymu wysoko, aż ogień wziął sobie daninę zabiegów ludzkich, wygaś, wystygł... i znów na miejscu zniszczenia stanęły nowe gmachy, warknęły koła maszyn, praca zaległa na nowo. Pamięć kłęski została...

Nie zawsze zostaje tylko pamięć. Pożar wybiera czasem, a może i najczęściej, takie miejsca na ofiarę, które gdy dotknie strasliwą kłeską, musi w nich zostawić nędzę i rozpacz. Niszczy on wszystko bez litości, zabiiera bez upamiętania, pomykając z każdą chwilą dalej. Wówczas bojaźń opanowuje serce, wzrok z niespokojnością spogląda w stronę krwawia-

ćej się łuny, ucho wyteża się, czy nie dosłysz krzyków i wrzawy, a nadzieja jedyna w dzielnym i szybkim ratunku.

Ale oto huczy coś po miejskim bruku; jakiś huragan przelatuje, niby tłukąc o ziemię pierśią, a sunąc dalej i dalej. Gromadki ciekawych i strwożonych zatrzymują się... patrzą, czekają: — a! to straż ogniowa!

Rumaki dzielne z wyciągniętymi szyjami ciągną w szalonym biegu ciężkie narzędzia ratunku. Do wozów, beczek, sikawek, poprzyczepiani strażacy (Ob. dodatek.)

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 34.

Praca umysłowa powinna być zadaniem ludzkiego żywota.

(Dodatek.)

(tak ich bowiem lud nazywa) z ochotnym spojrzaniem spieszą na miejsce walki, która się może dla nich codziennie powtórzyć. Skromna chorągiewka jest ich sztandarem, ale na niej jakże cudnie jaśniećby mógł krzyż Pański, który jest najpiękniejszym godłem poświęcenia i ofiary!

I przelecieli jak na wichru skrzydłach... Myśl że oni już tam są, gdzie ratunku potrzeba, uspokaja Warszawian. W nocy z tą myślą zasypia się spokojnie, gdy nieopodal prawie buchają niszczące płomienie. Ta gromadka ludzi dzielnych zapracowała sobie na taką ufność miasta ofiarą życia i zdrowia.

Najlepszym tego dowodem był pożar w dniu 14 sierpnia r. b. na Solcu wynikły. Dziesięciu ludzi ze straży ogniowej uległo poranieniu. Brandtmajstrowie, pp. Skowroński i Stuart doznali tegoż samego losu, idąc w ogień z podwładnymi, którzy umieją naśladować szlachetny i dobry przykład.

Pożar wybuchł w południe, a wszczął się w posesyi p. Olszewskiego, Nr. 2927 na Solcu, był zaś zatrzymany tuż przy kościele św. Trójcy, który w takim znajdował się już niebezpieczeństwie, że zeń zaczęto wynosić sprzęty i obrazy. Między ludem krążyła nawet wieść, że krucyfiks wielki w głównym ołtarzu tej świątyni zgorzał wraz z tylną ścianą.

Płomienie wzbily się wysoko, a zaległy w około obszar sześciu posesyj, po większej części zabudowań fabrycznych. Materyały palne, a mianowicie drzewo i ingrediencye chemiczne, zapasy składów i fabryk stanowiące, przyczyniały się do wzrostu i rozszerzenia pożaru. Składy pp. Milsztejna, Reichmana i Lawendela spłonęły; fabryka Hirszman i Kijowskiego uległa zniszczeniu, a wiatr roznosił płomienie. Wieczorem dnia tego łuna szeroko świeciła nad Warszawą, a mimo ciągłego i wyjątkowego ratunku, widziano ją jeszcze i nazajutrz.

Łatwo przewidzieć że straty z tego pożaru są ogromne. Nie jeden którego dotknęła ta straszna klęska, z rozpaczą widział ginące swoje mienie, na które składały się przecież krwawe trudy całego życia.

Plac objęty niszczącym dotknięciem płomieni, jest jednym zgłiszczem, ruiną pogorzeli, smutny przedstawiając widok. Ha!.. nawet nadludzkie usiłowania nie potrafią powstrzymać strasznej potęgi ognia.

St. Rzetkowski.

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Rubla na bilet i drugiego na rękawiczki zdobył jakoś pan Tomasz po długim kłopotcie, podobno od Józefa, który jeszcze posiadał jakie takie zasoby. Wyświężony, wymuskany, kroczył do sali reductowej, prowadząc panią radczynię i pannę Różę, błyszczącą zarówno pięknnością własną, jak i gustownym strojem. Pani radczyni z wielką godnością stąpała po szerokich wschodach, opierając się o rękę pana Tomasza; panna Róża patrzyła wprost na końcu swych nóg, jak gdyby nigdy nie miała zwyczajnie rzucać niemi na prawo i lewo. Pan Tomasz ostatnią złotówkę oddał za program z taką swobodą, że chłopcu podającym program aniby nie przyszła do głowy myśl tak zuchwała, że to ostatnia złotówka.

Pani radczyni była to doskonała żona i matka, ale niestety, istna męczenniczka dziwaństw mężowskich i nieustannych od lat wielu kłopotów finansowych. Rzecz dziwna: radca małżonek nie zjadał wykwinnych śniadań po za domem, nie zgrywał się w karty, był przykładnym małżonkiem, ojcem i urzędnikiem, a jednak rodzina ta była w ciągłych długach, a częstokroć czuć się dawał dotkliwy brak pierwszych potrzeb do życia. Czém się to działo? na pierwszy rzut oka trudno wytłumaczyć. Inni na takich samych etatach urzędnicy żyli wystawniej,

lecz albo dziedziczyli coś po rodzicach, albo za żoną wzięli większe wiano, albo mieli... akcydensa. Pan radca nie odziedziczył ani po swoich rodzicach ani po rodzicach żony, akcydensami gardził jako człowiek uczciwy, a tymczasem trzeba było żyć, tak jak i wszyscy. Zwyczajny tryb życia był bardzo skromny, ale tę oszczędność nato tylko tak gorliwie przeprowadzono, aby kilkanaście razy do roku mieć u siebie znajomych, z którymi łączyły rodzinę tę towarzyskie stosunki i pokazać im, że się tak dobrze przyjąć potrafi jak i drudzy; lub żeby błysnąć na koncercie, w teatrze, na przechadzce gustowną toaletą. Rozumię się że suknie kobiet i kapelusze musiały być zawsze modne i bogate; salopy, futra, okrycia nie gorsze od tych jakie noszą panny radczanki X*, lub pani Z*, żona naczelnika wydziału. Róża, od czasu opuszczenia pensyi, nie miała innych kłopotów, innych smartwień, innych celów życia, innych pragnień, jak takie; ale też były to kłopoty ciągłe, gorzkie, niedające spoczynku. Biedna dziewczyna nie przypuszczała ani na chwilę, iżby się można obejść bez owych przyborów, i zazdrościła tym, którym los daje konieczne istnienia warunki bez tak bolesnych wysiłen.

Zajawszy miejsca w sali koncertowej, zaczęły się nasze panie bacznie rozglądać po towarzystwie, w czém i Tomasz szczerze im dopomagał. Wkrótce na palcach mogli przeliczyć kto jest, a kogo niema; kto przyszedł słuchać muzyki, a kto oglądać drugich i sam być oglądanym. Zaczęły się szepty o strojach z taką techniczną znajomością, że dużoby z nich skorzystał każdy właściciel sklepu bławatnego, każda modniarka. Ale nietylko strój był przedmiotem żywego zajęcia: historia, statystyka, biografia i geografia zyskałyby mogły na takim przeglądzie. Z niesłychaną pamięcią nasze panie zachowywały raz usłyszane nazwiska i fizyognomie do nich należące; następnie już przy różnych okazjach, w rozmowie ze znajomymi, na przechadzkach, na widowiskach, kompletowały wiadomości pierwotne. Stan, zatrudnienie, przyzwyczajenia, stosunki, przeszłość i prawdopodobna przyszłość, wszystko to nie uchodziło ich bacznej uwagi, a często jeden rys drobny pobudzał ich dar kombinacji i prostował wyobrażenia. Jak Cuvier z jednego zęba przedpotopowego stworzenia, wnioskował o całej jego postaci i sposobie życia, tak panna Róża czasem z jednego uśmiechu zaobserwowanego z boku, budowała cały romans, pełen zakłamanych sytuacji.

Naco jęć się to wszystko zdało? Tak sobie, dla zabawki, dla zajęcia. Bystre główki muszą coś robić. Umysł jęć musiał coś studyować, wzięła więc pierwszy lepszy przedmiot jaki jęć się podsunął, i studyowała stosunki towarzyskie: gmin mówił że zajmowała się plotkami.

O koncercie samym nie będziemy się rozwodzić; był taki jak i wiele innych. Znakomity mistrz z zagranicy, przechwalony przez gazety, a w rzeczywistości biegły grajek i biegłyjszy jeszcze fanfaron, produkował się przed publicznością, uważając muzykę na koncercie za cel drugorzędny.

Z początku Tomasz przypatrywał się bacznie fizygnomii i ruchom grającego, ażeby mózdz udzielić swoich spostrzeżeń damom, w zamian za wrażenia jakich one doznały. Następnie gdy widok kuddatego, szamoczącego się przy fortepianie artysty, stracił już powab nowości, a ciągle przejścia od *pianissima do fortissima* dręczyć go zaczynały, obejrzał się znowu po kwiecistej niwie słuchaczów. Już kilkakrotnie zasłonił ręką usta skłonne do ziewania, gdy nagle wyprężyły się znowu muskuły jego twarzy i oko ożywiło się ciekawością. Zapatrzył się w jeden punkt sali tak, że nareszcie zwrócił uwagę i panny Róży obok siedzącej. Rzuciła okiem w tym samym kierunku i ujrzała że przedmiotem tej obserwacji była młoda ładna panienska.

— Wieszuję dobrego gustu, rzekła z lekkim odzieniem zazdrości.

— Dawno już dałem jego dowody, odrzekł Tomasz, spoglądając na swoją narzeczoną z galanterijnym uśmiechem.

— Ale któż to taki? widzę że patrzysz pan ze szczególnym zajęciem.

— Wistocie, zainteresowała mnie mocno ta osoba. Kto to jest, tego nie wiem, bo pierwszy

raz ją widzę, a jednak znam jeden szczegół, który czyni ją interesującą.

— Nie rozumiem pana.

— Zaraz pani objaśnię. Czy pamięta pani owo ogłoszenie w Kuryerku o osobie do towarzystwa poszukiwaną, a raczej do wszystkiego? Czytaliśmy je w przeszłym tygodniu.

— Ach tak, pamiętam. I dowiedziałeś się pan?

— Bardzo łatwo. Ogłoszenie owo podała tłusta brzydka baba, co siedzi obok tej ładnej panienski; ta w białym kapeluszu. A ta blondynka przy niej jest oczywiście owym skarbem, znalezionym za pośrednictwem Kuryera.

— Może to córka.

— Byłby wtedy odwrotny stosunek stroju. Uważa pani, jak bogato ubrana ta baba, co za broszki, bransolety, kwiaty, a jak skromniutko jęć ładna towarzyska? Zresztą według zasięgniętych wiadomości, ta moja sąsiadka z pierwszego piętra, hrabina Skalicka, jestto wdowa bezdzietna.

Na to nazwisko, półgłosem wymówione, nagle obrócił głowę młody mężczyzna, siedzący przed nimi; spojrzał najprzód bacznie na rozmawiających, a następnie zwrócił oczy w kierunku wzroku zaciekawionej Róży.

Nieznajomy, byłto przystojny brunet, niemający jeszcze lat trzydziestu, z myślącym szerokim czołem i nieco wzgardliwie ściągniętymi wargami. Ubrany był niby z zanedbaniem, ale znać było że zanedbanie to było wyrozumowaniem. Obyczajem ówczesnym (w 185*r.) nosił długie angielskie faworyty i szkiełko na jedno oko. Szkiełko to szybko utkwiał w prawem oku i zaczął się przyglądać Skalickiej, jęć pięknej towarzysce, a zarazem i elegancko wykreconej główce Róży.

Chwilę tak spoglądał nieznajomy, aż na uprzejme skinienie hrabiny głową i wachlarzem, pracowicie obiegającym jęć pierś falującą, odpowiedział pełnym uszanowania ukłonem. Róża zwróciła się nagle i spostrzegłszy obserwatorskie szkło nieznajomego, śpiesznie przybrała spokojną postawę zajętej jedynie muzyką osoby.

A Róża namiętnie lubiła muzykę, przepadała za muzyką! Grała na fortepianie dość biegle walce, polki, mazury i kontradanse. Jęć matka także niegdyś przepadała za muzyką, i także grała na fortepianie walce, mazury i kontradanse. Po wyjściu za mąż jeszcze kiedy niekiedy siadała do fortepianu, ale coraz rzadziej; nareszcie sztuki które umiała wyszły z mody, nowych się nie nauczyła, potem i starych pozapominała, i pozostało z muzyki tylko wspomnienie, tak jak z wielu innych rzeczy.

Zaciekawiona nieznana sobie dotąd postacią młodego, a tak przywoicie wyglądającego człowieka, Róża bacznie odtąd na niego zwróciła uwagę. Siedział okok młodej, wytwornie ubraną kobietę i w przerwach koncertowych wiódł z nią rozmowę. Róża nie potrzebowała bardzo natężyć słuchu, aby usłyszeć takie naprzykład frazesy:

— Dziwi mnie, że pani jesteś niezadowolona z tego tria. Przecież to Mendelssohn, a gra, szczególniej na fortepianie, dobitna, pełna, niewystudowana na zimno; skrzypcom też nie zarzucić nie można.

— Tak, istotnie, odrzekła młoda dama, tonem ministra odpowiadającego na interpelacyę; pojedynczo nie zarzucić nie można ani fortepianowi, ani skrzypcom, ani bassetli, ale brak zgodności między niemi. Szczególnie fortepian zalęwa skrzypce masami brzmień; partya fortepianowa przepelniona, a tēm przykrzej to czuć się daje, że wykonawca nadużywa pedału.

— Nie sądzę go pani zbyt surowo. Dla ogółu naszych słuchaczów trzeba chałasu i tylko wybredne ucho artystki dostrzeże trochy szarlataneryi w wykonaniu.

— Więc to jakaś artystka; dla czegoż jęć nie znam? pomyślała sobie Róża.

— Pyszny to jednak ten mazurek Szopena, rzekł nieznajomy po jakiejś pauzie i odegraniu nowiej sztuki. Rzecz znana, a zawsze się jęć słucha z nową przyjemnością.

— Tak, odpowiedziała uczona artystka, forma i rytm domowy tak nas ujmuje; przytēm czujemy że w tych piosnkach streściła się cała dusza kompo-

zytora. Ale to bagatelne utwory. Wolę szersze kompozycje; a i wykonanie chłodne, niekiedy z zaostrem tonem.

— Jakiś bogaty panicz i artystka, myślała sobie Róża.

Koncert się kończył, powstawano do wyjścia; wśród rumotu krzesel i dźwięków ostatniej sztuki koncertowej, na którą już nikt nie zważał, usłyszała Róża wyraz „pani prezesowa,” zwrócony do starszej towarzyski owęj mniemanęj artystki.

— A, więc prezesowa? I bacznym spojrzeniem zachowała sobie Róża fizygnomią nowęj znajomości w pamięci.

V.

Dreńczona codziennymi zabiegami o chleb powszedni, Ewa próbowała różnych środków zwiększenia swego zarobku. Szukała lekcji za pośrednictwem znajomych, zwiędzała kantory strężeń, brała bieliznę do domu i szyla po nocach wraz z siostrą; ale wszystkie te rozpaczliwe usiłowania wydawały tak małe rezultaty, że nędza coraz większa zagrażała zubożałej rodzinie. W wypłowiałej sukience i lekiem okryciu, w słomkowym kapelusiku, niedbale zaciśniętym na głowę, w zimne śnieżyste dni marcowe, biegła z lekcji na lekcję, grząc się nadzieją wiosny, do przybycia której nielitościwych czterdziestu męczenników jeszcze czterdzieści mrozów zapowiedziało. Po powrocie do domu czekały ją troski i praca. Żywotna siła młodości wydobywała temu wszystkiemu, ale widok matki upadłej na duchu, cierpiącej niedostatek, widok brata, któremu brakowało wszelkich środków do dalszego kształcenia się, wprowadzał ją w stan prawie gorączkowy.

Niejednokrotnie przeglądała ogłoszenia po piśmie publicznych, chwytając się najmniejszego prawdopodobieństwa, traciła czas na wyszukiwanie po odległych ulicach osób ofiarujących pracę, i prawie zawsze wracała zniechęcona niepodobieństwem przyjęcia propozycji. Albo były warunki twarde i niekorzystne, albo osoby niestosowne.

Na drugi dzień po owęj naradzie finansowej, zakończonęj odwiedzinami pana Jana Bieniaka, Ewa, przeglądając kuryrkowe anonse, w jednym z domów gdzie dawała leky, spostrzegła owo ogłoszenie, czytane na wieczorze u pana radcy. Śmieszne było, oburzające, niedorzeczne, ale tonący brzytwy się chwytła, i Ewa, po długim namyśle, postanowiła poznać jego autorkę. Wyszukanie domu nie przedstawiało trudności, a stróż zapytany wskazał na pierwsze piętro, do pani hrabiny Skalickiej.

— Przynajmniej nazwisko i tytuł przyzwoite, pomyślała sobie Ewa. Może to więcej śmieszna niż zła osoba, może tylko wypisać się gładko nie umie.

Pociągnęła nieśmiało za dzwonek: ozwały się cienkie a wrzaskliwe kilku piesków głosy.

— Czyżby to moje przyszłe gospodarstwo być miało? zapytała w duchu sama siebie.

Lokaj ze szczotką w rękę otworzył. Była godzina piąta po południu.

— Do kogo? zapytał, mierząc z góry zsiniałą od zimna Ewę.

— Chcę widzieć się z panią hrabiną.

— Cóż to za interes ma panna?

— Proszę powiedzieć, że przyszła osoba w interesie ogłoszonym w Kuryerze.

Lokaj, biorąc Ewę za szwaczkę, pozostawił ją w przedpokoju, w otoczeniu kilku piesków, ujadających gorliwie, i poszedł zameldować.

Wkrótce pojawiła się we drzwiach tłusta matrona którą już poznaliśmy na koncercie, i rzekła:

— Proszę bliżej.

Pieski nie przestawały zawziętego szczekania. Do ogólnęj wrzawy przyłączył się jeszcze jeden, trzymający na pulchnym ramieniu pani hrabiny.

— Panna czytała moje ogłoszenie w Kuryerku? zapytała hrabina w salonie, odsunawszy się od drzwi na trzy kroki i ciekawym okiem mierząc przybyłą; a któż panna jesteś?

Ewa wymieniła swoje nazwisko i w kilku słowach skróśliła biografią ojca i obecne położenie swoje, skłaniając ją do szukania obowiązku.

— Hm, to jeszcze niedawno mieliście majątek, a teraz nic nie macie; no proszę! To panna córka

obywatelska! no proszę!

Ewie krew uderzała do głowy, ale trzeba było przejść próbę.

— *J'espère que vous parlez passablement français, ma petite?*

Ewa odpowiedziała kilka słów dobrą francuzczyzną, które widocznie panią hrabinę zrobiły grzeczniejszą. Położyła się w fotelu; Ewa usiadła na przeciwko.

— A czy grasz pani na fortepianie?

— Utrzymuję się z dawania lekcji.

— Ale to pewno szycie nie umiesz, kochaneczko, bo to jesteś szlacheckie dziecko.

— Owszem, znam dobrze roboty kobiece.

Egzamin szedł ciągle w tym sposobie. Hrabina wracała kilkakrotnie do historii upadku rodziny Strzemskich, obrzucała Ewę najniedyskretniejszymi pytaniami; z samolubnym chłodem wtrącała morały o potrzebie rozumnego zarządu majątkiem i złych skutkach jakie z marnotrawstwa wynikają, choć marnotrawstwo w tym razie najbezzasadniej było przytoczone.

Następnie wylczyła hrabina obowiązki jakie miała pełnić Ewa. A było ich bez liku: winna była wszystko umieć i wszystko robić, od rana do wieczora opiekować się i panią, i pieskami, i służbą, i kuchnią. Miała i szycie, i czytać, i grać na fortepianie, i gości bawić, i sług doglądać i t. d., i t. d. Za to pensji ofiarowano 2000 złotych.

— Zobaczą, namyśle się, poradzę matki, powiedziała Ewa.

— Dobrze, ja tymczasem zasięgnę informacji o pannie; a namyślać się nie masz co długo, to pensja duża i wygodna wszelkie. Obiad będzie nie w kredensie ale razem z mną, a i do teatru i na koncert czasem wezmę, bo nie mam z kim chodzić. Lepszego miejsca pewno nie dostaniesz, moja duszko.

Ewa ukloniła się i wyszła.

Wiatr świszcząc przeraźliwy; już ciemno się robiło. Tu i owdzie rzadki pojawił się przechodzień; ale Ewa nie widziała nikogo. Dusilo ją w piersiach, oczy miała łez pełne. Wbiegła szybko do Saskiego ogrodu, skręciła w mniej uczęszczaną aleję, padła na mokrą ławkę i tu dopiero głośnym prawie wybuchła płaczem. Potrzebowała się wypłakać nieboga.

— Nie, wyrzekła z oburzeniem, nie oddam się na niewolę i upokorzenie! O, jakże słodki ten ubogi kącik przy matce! Jak miły ten szary i zimny pokój! Wyszukam sobie więcej lekcji. Okońscy obiecali mi starać się o nie; dam jeszcze ogłoszenie do Kuryerka.

Czując jak mało nadziei do tego wszystkiego przywiązywać może, znowu płakać zaczęła. Nadeszła chwila upadku ducha. Dészcz chłostał ją po twarzy i zmywał łzy gorące, wiatr obsypywał kłębam mokrych zeszlórocznych liści; ale samotność i zawierucha robiły jej ulgę, były w harmonii z boleścią którą ją przejmowała. Wieś rodzinna, dni spędzone na nauce i swobodzie, błyszczały jej przed oczami jak raj utracony; przyszłość widziała przed sobą w postaci obrzydliwej nory miejskiej, nazywającej się mieszkaniem, w postaci łachmanów i głodu lub upokorzenia, tłustych, ograniczonych hrabin, złoconych klatek i obiadów zaprawnych wzgardą, podawanych przez lokaja impertynenta.

Odgłos kroków przywrócił ją do upamiętania. Mężczyzna jakiś przeszedł mimo, a wzrok jego natrętny, świdrujący, najlepszą był zachętą do natychmiastowego opuszczenia ogrodu.

Nie zdążyła jeszcze się podnieść, gdy mężczyzna ów nagle zawrócił i stanął przed nią.

— Pani tak samotna o tej porze?

Słowa te zastały Ewę już na środku alei. Spojrzała z dumą na natręta i śpiesznie odeszła w przeciwnym kierunku.

Ale nieznamy dawał daleko większe kroki. Ciemno się robiło coraz bardziej, aleje puste były zupełnie.

— Pani! mówił nieznamy, idąc krok w krok za Ewą; przysięgam ci, że nie płochość skłoniła mnie do wyrzeczenia tych słów kilku, że ani na chwilę nie zapomniałem o szacunku należnym kobiecie, ale od dawna znam panią, od dawna uwielbiam. Czemużbym nie miał tego wypowiedzieć? A tu, zastawszy

cię samą o tej porze, sądziłem że może dreńczona troską potrzebujesz pani opieki mężczyzny.

Tchu zaczynało brakować Szopie, on to był bowiem, tak energicznie zdążyła Ewa do bramy ogrodowej.

Szopa całe popołudnie (przed południem spał w domu) strawił na upatrywaniu Ewy. Wiedział już dobrze na których ulicach i w jakiej porze najczęściej spotykać ją można. Dziś jednak strawił czas napróżno i wracał do domu zniechęcony, gdy po drugiej stronie ulicy, w bramie Saskiego ogrodu, dostrzegł Ewę. Przeprawę przez ulicę wstrzymał mu chwilowo jakiś furgon żydowski, dążący na Grzybów, potem dorożka i wózek chłopski; że jednak ogród Saski był pusty i przejrzysty, łatwo odszukał ślady ulubionęj. Ku wielkiemu zdziwieniu swemu ujrzał ją siedzącą na ławce; łez nie mógł dojrzyć, z powodu nocy, ale niezwykle położenie ośmieliło go po chwili obserwacji do zrobienia próby i zabrania znajomości. Ewa poznała także w Szopie natręta, który od jakiegoś czasu ściagał ją po ulicach Warszawy, i przypuszczając formalną zasadzkę, tém śpieszniej uchodziła.

Widząc całą swoją wymowę daremną i migającą już latarnie bramy, poeta zawołał z rozpaczą:

— Powiedz pani choć jedno słówko, że mi przebaczasz śmiałość, istotnie tylko chęcią niesienia usługi natchnioną.

Ewa obróciła się nagle i zapytała:

— Cóż pana powoduje do prześladowania mnie tak uporczywie?

W głosie jej tyle było powagi i prawdy, tyle dźwięku niedawnego płaczu, że słowo „miłość,” którym chciał Szopa odpowiedzieć na zapytanie, zamarło mu na ustach i rzekł tylko po chwili:

— Uwielbienie!

Po tej krótkiej rozprawie, Ewa szybko pobiegła ku domowi, a Szopa nie śmiał jej dalej ściagać, i pełen entuzjazmu powrócił do domu, myśląc sobie:

— Na początek i to dobre; znajomość zawarta. Słyszałem jej głos, mówiła do mnie! O Beatryczo! wiedziałem że jesteś aniołem, a twój głos utwierdził mnie w tém przekonaniu.

VI.

Dopóki Jan siedział w kółku swoich sąsiadek, pozostawał pod krepującym uczuciem konwenansów świata ukształconego, pod magicznym wpływem Ewy. Czuł w sobie przewrót zupełny, ale nie umiał sobie zdać sprawy z zamętu nowych uczuć i wyobrażeń. Gdy wszedł na górę, do swojego mieszkania, zagorowało nad wszystkiem uczucie doznanego zawodu, oddalenia się od celu do którego dążył, upokorzenia jakiego doznał.

— Niech diabli wezmą wszystkie te mądrości książkowe! A to mi przeuczona panna! I na co jej to wszystko się zdało? Biędę klepie, a fumi w głowie!

Rzucił ze złością otrzymaną książkę na stół i zaczął się przechadzać wielkimi krokami.

— Kobieta jak umie modlić się na książce do nabożeństwa, to i dosyć. Włosy długie, rozum krótki. A to zachciało mi się guwernantki! sama sobie zawróciła głowę książkami, ale mnie to na co? Bałmuctwo i koniec!

Takimi argumentami uspakajał się Bieniak, a przecież nie zupełnie im wierzył. Cóż wewnątrz szeptało mu, że tak nie jest, choć próżność obrażona tłumiała ten głos wewnętrzny. Przystępnie ciągle na myśl przychodziło najważniejsze pytanie: co dalej począć, na co się zdecydować?

Porzucić tak niefortunnie wybrane zaloty, to była droga najrozsądniejsza; ale obraz Ewy ciągle mu stawał przed oczami. Taka piękna, łagodna, pracowita i nie dumna wcale, tego nie mógł powiedzieć, ale coż kiedy przystępnie taka *pańska!*

Tak chodził, rozmyślał, gwizdał, kłął, biędny cieśla, zarzekał się że noga jego więcej u Strzemskich nie postanie; a potem pieścił się znowu czarownym obrazem Ewy, dotykał jej kędziorów złotych, drżał na wspomnienie magnetycznego spojrzenia, lub łona podnoszonego jej oddechem.

Kłąt przystępnie wszystkiem wyrzucał co niemiara. Od czasu gdy mu przez niezgrabność robotników za-

waliło się rusztowanie, stawiane przy jakiejś wielkiej budowie, nie zdarzyło mu się ani razu kłąć tyle.

Nie postanowiwszy, usnął nad samem ranem. Na drugi dzień przy robocie zły był i opryskliwy. Ze szczególniejszym grubiaństwem spierał się z właścicielem wznoszonego budynku, młodym człowiekiem, pełnym elegancyi i pogardliwej grzeczności.

Wieczorem powrócił do domu, siadł w zimnej izbie i pogrążył się w smutne dumanie.

Zmęczony myślami kręcącymi się wciąż w jednym kole, nie wziął się do rysunków i planów jak dawniej bywało, ale sięgnął po książkę ofiarowaną mu do czytania. Prosił sam wprawdzie o nią i przyjął, w chęci skorzystania z nauk jakie tam znajdzie; teraz jednak zamierzał czytać jedynie dlatego, żeby się przekonać, że wszystkie wiersze są bałamuctwem, którym się wielcy panowie z nudów zabawiają.

Obyczajem ludzi nie wiele czytających, zaczął od najpierwszej stronicy, to jest od Psalterza. Traf wistocie sprzyjał Bieniakowi: lepszego czytania w tej chwili trudnoby dlań było wynaléć.

Bieniak był szczerze pobożny, choć nabożeństwo jego ograniczało się do pełnienia bez myśli praktyk religijnych. Łatwo więc sobie wyobrazić, jakie wrażenie na jego zbolałym i wzburzonym umyśle sprawiły wzniosłe, pełne filozofii i melancholii pienia króla proroka. Przystępność języka prawdziwie ludowego, zrozumiałość pomysłów, obrazowość, wszystko to uniosło go wirem w świat nowy. Zdawało mu się że wieszcz natchniony jego bóle rozumiał, z jego piersi wysnuł wszystkie pieśni. Rezygnacya, nadzieja, pokora, uciszyły próżność i następstwem jej będącą chciwość, uważanie dostatków, majątku za najwyższy cel życia. Otworzył mu się widok rozleglejszy; wszystkie zdania moralne i filozoficzne jakie napotykał, znał dawniej, tylko o nich zapomniał, tak mu się przynajmniej zdawało; pobożny liryzm głuszył w nim namiętność ziemską, a gdy się ta przypominała, nadawał jej łagodniejsze, rzewniejsze tony; żądza majątku i znaczenia, którą dopóki się nie zakochał, żył wyłącznie, chłodziły ciągle uwagi psalmisty o marności ludzkich zabiegów, o wyższych celach człowieka.

„Szaleni ludzie, którzy w swém władaniu
Nadzieję kładą albo i w zebraniu;
Brat rodzonego nie odkupi brata,
Kiedy już przyjdą zamierzone lata.

Niechaj jako chce człowiek w szczęściu pływa,
Niechaj powagi jakiej chce używa;
Jeśli z fortuną rozum się nie sprzeże,
Takięże śmierci co było podłęże.“

Jan czytał powoli. Świt bładny przerzedzał chmury na niebie. Łójówka w blaszanym lichtarzu dogorywała, gdy ów nieprzyjaciel książek, oprócz kilku technicznych, nieznający dotąd żadnych, zakończył czytanie Psalterza. Zmęczony był dwiema bezsenne spędzonymi nocami, ale uspokojony na duchu, przemieniony wewnętrznie, przemył oczy znużone tak długą pracą i poszedł do swojej fabryki. Przez cały dzień pełen był wyrozumiałości względem robotników i poszanowania względem starszych.

Wieczorem tak się czuł zmęczony, że nie wziął się do książki. Padł na łóżko aby rozmyślać o swojej miłości i o Psalterzu, ale niebawem sen skleił jego powieki. Niełatwo to czytać, ubiegawszy się cały Boży dzień na mrozie.

Następnego wieczora wziął się do dalszego czytania. Wypocząwszy moralnie i fizycznie, bo praca była mu lekką przez przyzwyczajenie i siłę młodzieńczego zdrowia, czuł się zupełnie usposobionym do badania tych skarbów, na których wyrosła mądrość Ewy, napełniająca go dotąd zazdrością. Po pierwszych kilku wierszach zadziwił się niepomału. Ton uczucia, wyrażenia zupełnie były inne od psalterzowych. Były to pieśni miłosne, ale jakże różne od tych jakie mu się zdarzyło słyszeć pomiędzy swoimi towarzyszami, po gospodach polskich i niemieckich, po karczmach i polach. I tu była lekkość, ale jakże wytworna, czuła, smętna! Znów jego własne uczucia odgadł i wyśpiwał ten czarodziej Karpiński! Barczysty cieśla splekał się jak bóbr nad nieszczęściami Filona, Dorydy, Palmiry i t. p. Usnął, ma-

rząc o szczęściu pasterskim w towarzystwie Ewy; kręcił jej fujarki i bronił jej owiec od wilków drapieżnych, za co otrzymał wieniec róż na głowę.

We śnie powtarzały się podobne widziadła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODPOWIEDŹ.

„Moja zadumana, czego łom twym trzeba?
Może rajszych kwiatów, albo gwiazdy z nieba?
Może piór srebrzystych od Serafa skrzydeł?
Może barw i blasków, tęczy malowideł?“

Nie chcę cudów nieba, nie chcę gwiazdy w złocie,
Ja bez piór anielskich zwiedzę raj w przelocie;
Nie chcę tęcz ni kwiatów, mija czar z latami,
Wiecznie tęskni serce, wiecznie wzrok za łzami.

„Nęcaż hołdy tłumy, albo świat przepychem?
Lazur ócz twych świeci rozświetleniem cichem.
Może z wieszczej lutni piosunki chcesz natchnionej?
Może wieńców sławy, wiosny nieskończonej?“

Nie chcę hołdów świata, nie chcę wiosny, sławy,
Milszych skarbów szuka duch tęsknotą łzawy.
Smutek rzewny owiał skroń mą rozmarzoną,
Lecz mych nie ukoisz nawet gwiazd koroną.“

Cel mych pragnień drobny, życzeń treść nie płocha;
Pragnę jednej duszy co bez granic kocha,
Jednej pięknej myśli, co mą myśl powtórzy,
Jednej, której lotu wyższy cel nie znuży.

Serca chcę, co błyszczą świętym poświęceniem,
Pieśni, z moją pieśnią harmonijnej brzmieniem.
Szybciej wędzną kwiaty, płyną łyzy goręcej,
Nie znalazłam szczęścia i nie znajdę więcej.

Coraz chmurniej w życiu, próżno duch się ludzi,
Samotnemu sercu smutno żyć wśród ludzi.
Ścieżką życia wzrośnie tylko cień bez końca,
Szczęście nie rozkwitnie bez miłości słońca.

Adela Hanicka.

Słów kilka o repertoarze.

(Dalszy ciąg).

Dyrekcya teatru zawsze wynagradzała tłumaczy. Wynagrodzenie, w stosunku do innych, jest nawet wcale niezłe. Płacono po 50 złotych od aktu a czasem i więcej. Ztąd jest dość powołanych do zarobkowania na tej drodze, lubo nie wielu wybranych; zarobkowanie takie jest zasługą lecz o tyle o ile przekłady robione są doborowo, po literacku, z zamiłowaniem, ze znajomością języka i tyłoma innymi warunkami, których wymaga dobre tłumaczenie.

Ze Osiński tłumaczył dla sceny, sam będąc jej dyrektorem, to i owszem, bo tłumaczył jako mistrz pióra; że Chęciński podkłada libretta do oper, to też lepiej, bo mało kto w tém mu dorówna. Takich tłumaczy jaknajwięcej, a widzowie będą im wdzięczni za prace istotnej zasługi. Inaczej się atoli ma, jeżeli ktoś pracuje rzemiosłowo, aby z tłumaczeń mieć zarobek; w takim razie nie baczy się na treść utworu, ale dobięra się sztuki najkrótsze i najłżejsze, zawsze w widokach intraty z małą pracą i zachodami. W takim stanie nie mogły uzyskać wstępu przekłady ściśle literackie, bo napotykały co krok pełno utrudnień. Te wszystkie utrudnienia, osłonięte pokrywką wyższych celów, niemożliwości i t. p., stawały i oryginalnym pracom zaporę, pracom Fredry, Korzeniowskiego, Górczyńskiego, Majerowskiego i innych.

Stara to historia tłumaczeń na urząd. Wprawdzie jeszcze W. Bogusławski dokonywał przekładów, ale to był człowiek wielkiego rozumu, wielkich zdolności, umiał wybierać i starczył za wszystkich, bo nie miał ówczasnie, prócz Zabłockiego, równego sobie tłumacza.

Po Bogusławskim tłumaczyli Pękalski, Dmuszewski i Żółkowski, pierwszy pozostawił jakie pięćdziesiąt lada jakich przekładów. Drugi mimo swoich literackich zasług i literackiej powagi, nie zaszedł daleko; miał jednak tę niemałą zaletę, że przepol-szczał sztuki, podnosił je okolicznościowymi piosenkami, a lubo chromał w komedjach pseudo-dziejowych, trafnie przerabiał krotofile. Żółkowski był ulubieńcem ogółu, jako znamienity aktor i jako momusowy facecyonista. To już dosyć dla niego. Wiele tłumaczył i przerabiał, lecz wybierał to tylko, co mogło podnieść jego talent komiczny. Temi przekładami zavalano wszystkie repertoary scen prowincjonalnych (Dmuszewski do 200, Żółkowski do 70 przekładów pozostawili).

Być może iż to był smak społeczny. Znano wówczas tylko albo tragedya, albo komedya, nie znano zaś ani dramatu ani dramy. Ostatniej pojawienie się u nas przypada na rok 1820, a gust ówczesny literacki źle ją przyjął, bo wyrzekł słowa potępienia:

Jakże jest dobroczynny wynalazek dramy!
Gdy Wolterów, Kornelów, Rasynów nie mamy,
Zięwać byśmy musieli lub teatru zwalić,
Sprzykrzyło się już Fedry i Pompeje chwalić.

(Oda do dramy w Pam. War. 1820 r.)

Kiedy się pojawiły dramy i dramata, tłumaczyli je dla sceny Kudlicz Bonawentura i inni członkowie teatru.

Zwolna zaczęły one ustępować miejsca komedjom i krotofilom, które w ostatnich dziesiątkach lat wyłączenie rozsiadły się na scenie. Znikła tragedia, zeszedł z pierwszego planu dramat, znika z oczu artysta a baraszkuje komedyant.

Może nie to miał na myśli Czajkowski Antoni (w Bibl. Warsz. 1856 wrzesień) w wierszu *Melpomena*, gdy powstaje na szkaradę sposobu pisania dzisiejszych autorów scenicznych; ale jakżeż nie powtórzyć tego prawdziwego okrzyku:

Córko Eurypidesa, ty Grecy dziewico,
O muzo! gdzie twa biała, nieskalana szata?
Kaplanko czystych świątyń, gdzie lira bogata,
Gdzie twe płaszcze, co złotem i purpurą świecą,
Która z cudnego czoła spływa na ramiona?
Gdzie twe płaczki i płacze i boleść dotkliwa,
Która duszę zasępie i serce rozrywa?...
O kaplanko! gdzie twoja preczysta opona?
Tyś ją dziś zamieniła na łachman znoszony.
Zaskrzyły dziś gminnością twe miodowe tony;
Tyś ze świątyń zstąpiła na błoto ulicy,
Aby słuchać wymyślań brudnej nierządniczy.

Kiedy to wypowiadał poeta, nie znano jeszcze *Benoitonów*, ale znano *Asekuracje małżeńskie*, *Po maskaradzie*, *Icek sędzia*, *Tydzień rozsądku*, *Indyany* i tym podobne utwory. Namnożyły się one w ostatnich 30-tu latach bardzo obficie. Rogiem obfitości był zasłużony zkadinał artysta J. S. Jasiński, który wydobywał z pod pióra fraszki za fraszki tak obficie, jak Döbler wydobywał bukiety z próżnego kapelusza. Sądzę że Jasiński przetłumaczył 300 najmniej sztuk; ja ich mam spisanych blisko 200, a spis ten wcale nie jest dokładny. Do liczby tej dodajmy kilkadziesiąt komedyj, które tłumaczył siostrzeniec jego Antoni Gellert, a będziemy mieli cyfrę tłumaczeń nowych, przez te dwie osoby dokonanych, większą może niż razem wziętą liczbę tłumaczeń reszty osób.

Jasiński jako tłumacz sceniczny, przeszedł na ilość Dmuszewskiego, ale na jakoś mu nie dorównał, bo przerabiał, zastosowywał do miejscowości częścią może nie umiał, a po części nie chciał. Dmuszewski pojawił się w epoce, kiedy jeszcze tłumaczenie było literacką zasługą, bo o tłumaczy było trudno; zaś następca jego pracował wtedy, kiedy tłumaczenia jego wyparły ze sceny Fredrę i Korzeniowskiego, a i obecnie nie mogą być poczytywane za zasługę literacką, bo dziś o dobrego tłumacza nie trudno.

W przekładach jego język niezawsze jest staranny i wybór niezawsze należyty. Oryginalne nawet utwory wyglądają jakby żywcem tłumaczone, tak niema w nich swojskości. Jedyną zasługą niezmor-

dowanego tłumacza są podkłady pod opery, bo te, jak wszystkie libretta, są zawsze mozolne i pracowite.

Długi czas był Jasiński alfą i omegą repertoaru warszawskiego, bo on nim kierował, wszystko to nawet co inni tłumaczyli, zastoso­wywało się niemal do jego gustu i wyboru. Dlatego repertuar nabrał jed­nostajnego pokostu, jakby z jednego odłany mate­ryału. Zwyczajnie to bywa, gdy jedna osoba kie­runek wyborowi nadaje, bo każda jednostka zwykłe jednostronny mięwa sposób widzenia, i zdaje się jęj że co pięknym jest w jęj oczach, to uzna i ogół za piękne.

Po tłumaczeniach Jasińskiego, wchodzą groma­dnie na repertuar przekłady rodziny Gwozdeckich. Są one co do wyboru nieco lepsze, ale bynajmniej co do staranności języka. Repertuar z tęg epoki 10 lat, jeszcze bardziej zaniedbany niż za poprzednika, a widowiska zbywane są farsami niegodnymi sceny wielkiego miasta. Dostęp dla dobrych tłumaczeń i dobrych dzieł oryginalnych utrudniony był tak jak dawniej. Wszelkie przekłady stosować się musiały w wyborze do gustu tych, którzy gustu nie mieli.

Oprócz Jasińskiego i Gwozdeckich licznie prze­kładami zasilili teatr członkowie sceny, jakoto: Halpertowie Maurycy i Leontyna, Świeszewski, Sygie­tyński i Józef Komorowski. Ostatni z tych prze­kładców najsumienniejszy był i najlepszy; jemu za­wdzięczamy słizny dramat Souliego: „Chata w Za­roślach.“ (*)

Inni artyści tłumaczyli tylko w razie upatrzenia jakieg roli dogodnej dla siebie, lub gdy im się spo­dobała ta lub owa fraszka. Nie podobna więc zaliczać ich w poczet stałych tłumaczy teatral­nych, ani do kategorii tamujących rozwój reper­toaru, lecz wymieniam ich przekłady li tylko jako materyał do historii repertoaru sceny warszaw­skiej (**).

Obok niezliczonych przekładów Jasińskiego i lu­żnych tłumaczeń osób teatralnych, nie mogły się w do-

statecznej liczbie wcisnąć w bramy sceniczne utwory czysto literackie, bądź to doborowych dzieł prze­kłady, bądź prace oryginalne. Z trudem otwierali się dla nich wrota sanctuarium scenicznego. Stali więc za bramą Antoniewicz, Paszkowski, Cieszkowski, Kłobukowski i wielu innych.

Z tłumaczy-literatów, zjawiał się kiedy niekiedy ten lub ów na scenie, ale jakżeż to skąpo! (***)

W tęg małej liczbie tłumaczeń przez mężów pióra dokonanych, tłumaczeń wznacznęj części równie nie­odpowiednich co do osnowy, bo stosujących się do gustu tych, którzy przyjmowali sztuki do repertoaru, większa część utworów, są to fraszki przemijającej wartości. Jako rzeczywiście zasłużeni, można powie­dzić wzorowi tłumacze, wyróżniają się: Korzeniowski, Kaszewski i Szymanowski, niekiedy zaś Kapliński, nadto Anczyz i Chęciński jako libreciści. (***)

Było zatem przeszło 70 tłumaczy, a z tych 30 na­leżących do teatru warszawskiego; liczba tych 30-tu ogarnia niemal dziewięć dziesiątych ogółu przełożo­nych sztuk. Z pomiędzy tęg liczby tłumaczy zale­dnie czterech czy pięciu dobrych wypłynęło, reszta, acz wielu z nich umiało władać należycie piórem, zniewoloną bywała stosować gust swój do zepsutego smaku układających repertuar, czasami do rozkapry­szzonego smaku tego lub owego ulubieńca ogółu, a po części do zwichniętego smaku samęje publiki. Garnięcie się członków teatru do przekładań, jakkol­wiek świadczy o dobrych chęciach i umysłowej gimnastyce, jednakowoż niezawsze dobre chęci odpo­wiadają literackiej kwalifikacyi, i nie zawsze zarobko­wanie na tęg drodze, idzie w parze z korzyściami ja­kieby odniósł repertuar, gdyby w miejsce źle wy­bięraných sztuczek, przybywały dobrze opracowane przez mężów pióra dzieła sceniczne.

Dlatego, mając fabrykaty tuzinkowe, nie mamy na scenie doborowych tłumaczeń, ani wyrobić się mogli w dostatecznej liczbie wyborowi tłumacze; bo jeśli co dobrego przetłumaczono, to zwykle spoczywało w tece, tułało się po czasopismach, lub figuruje luźno wydane, na półkach księgarskich.

Stało się z tego powodu z tłumaczeniami to, co się dzieje we Francyi z pracami oryginalnymi. Tłu­maczą je nieraz niby dla sceny, ale przeważnie tylko dla upatrzonej roli faworyta aktora. Ztąd utwory większe, nasuwające również większe prze­szkody w ich odegraniu i maszyneryi wystawy, nie wychodzą na scenę, drobnostki zaś łatwe do prze­kładu i odegrania, wypowiedane w czarnym surdu-

cie lub w sukni według mody najświeższej, przytęm efektowne i nie męczące pamięci aktora liczbą arku­szy, są popolitym rumakiem bojowym. Tym spo­sobem wykonawcy spełniają wygodnie swe obowiązki, nieraz użalając się, że nie mają pola rozwinięcia isto­tnych swoich zdolności.

Tęm się tylko może wytłumaczyć ciągle powtarza­nie sztuk, które już dawno zeszyły z innych repertoa­rów. Podtrzymuje takowe artystka rezolutnie gra­jąca rolę subretki, podtrzymują komici, budzący nieustanny zapal galeryi i paradyzu, gestami co wi­dowisko powtarzającemi się stereotypowo.

Nie takie jest zadanie, nie taki cel i kierunek roz­woju sceny. Jednego z filarów i bohaterów komiki występ w ladajakiej sztuce, wystarcza do długole­tniego utrwalenia jęj pomyślności. To podnoszenie zalet komizmu, zaszko­dziło repertuarowi, bo posta­wiło w cieniu inne, a trudniejsze w wykonaniu strony utworu scenicznego.

W ogóle, rola komika gra sama przez się osnową swoją. Podoba się ona zawsze prawie, gdy rola ojca, kochanka, czarnego charakteru uwydatnia się zawsze i zwraca uwagę publiki tylko potęgą gry ar­tysty. Dlatego wszędzie łatwo o dobrego komika, gdy trudno o znośnego kochanka.

Przeczenie komizmu wywiera zabójczy wpływ na repertuar. Dlatego pomimo iż biję czołem przed wysokimi zaletami gry Żółkowskiego, nie mogę w nim uznać owę wielkości jaka się uwieńcza zło­temi wieńcami. Owszem, kierunkowi talentu jego poniekąd przypisuję (*) iż pośrednio i pomimowoli przyczynił się do zapuszczenia zielska i chwastu po­między ziarna i kwiaty repertoaru scenicznego. Prawda że aktor odgrywa rolę wyznaczoną mu przez reżysera, ale wiadomo z praktyki, iż wyższemu arty­ście przeznaczają role takie, jakich domaga się on i usposobienie jego talentu. Wielostronność, niezwy­czajna skala rozległości talentu uwielbianego komika, podnosiła i utrwalala nazawsze to nawet, co było ujemnym ze względu na zadanie sceny. Niewielu takich znalazłoby się, którzyby widząc na afiszu na­zwisko tak popularne, nie chcieli mimo to pójść na widowisko, dlatego jedynie, że sztuka w której na­zwisko to figuruje, niegodną jest artystycznego pod­niesienia. Ogół idzie na oślep, bawi się i pokla­skuje.

We mnie takie zwichnięcie smaku ogółu budzi wstręt i przykrość; wolę mniejszą potęgę sceniczną, ale donioślejszego pożytku, lub uszlachetniającą. Nie chcę porównywać talentu Żółkowskiego z innymi tu­tejszemi, mniej może samodzielniemi, mniej nad­zwyczajniemi, ale niemniej wpływowemi. Posądzono­by mnie może o stronność, lub uboczne względy; się­gnę zatem dalej. Obok W. Smochowskiego gasnął Dawson. Najpierwsi nawet niemieccy artyści, jak Löwe, odwiedzali scenę lwowską, aby się uczyć od Smochowskiego w dramacie i tragedyi. Potęga to równa Żółkowskiemu; Smochowski nadał scenie na której grał, kierunek podniosły, rolami swemi oczyścił repertuar z błahostek. Przez takich arty­stów uszlachetnia się scena. Obok niego i według niego wyrabiał się zastęp naśladowców. U nas atoli repertuar schodził coraz głębiej wrzepszcie komiki niższej. Za wzorem Żółkowskiego jako filaru, gru­powowały się inne jego podpory; znaczny zastęp zdol­nych artystów śmieszkami i żartami wypełniał swoje karyerę. Szko­dowały na tęg rolę seryo. Artyści tragiczni i dramatyczni, acz równęj może siły talentu, stawali w półcieniu, a talent ich niespożytkowany do­statecznie, zatrzymywał się w pół drogi.

Otwarcie powiem, że z tego względu rzecz bio­rac, scena tutejsza i repertuar zyskałyby ogromnie na tęg, gdyby miały o kilku artystów w rodzaju Żółkowskiego mniej, a o jednego artystę w rodzaju panów... a raczej (gdy tutejsze nomina sunt odiosa) w rodzaju Smochowskiego więcej.

(Dokończenie nastąpi).

(*) Wiadomo że przed 30 laty grywał także role kochanków i czarnych charakterów (Delauay w Piętnie hańby) i z ról tych wywazywał się znakomicie. W Biędnym rybaku w poważnej roli głównej, w ciągu widowiska wywołano go do 80 razy. Dawson grywał równie znakomicie role komiczne, ale po latach kilku porzucił je, aby wziąć się do prac seryo, trudniejszych i powa­żniejszych.

(*) Biorąc tłumaczenia z ostatnich lat 30, wymieniam naj­przed librecistów, jako to: Kurpiński K. (Lunaticzka); Matu­szynski (Betty, Faust, Gaduly, Ostatni wtorek, Lazarilla, Ober­zystka z Elisondo, Panie straganiarki, Pensyonarki, Rendez­vous); Szober (Piękna Galatea); Chęciński (Belizaryusz, Brawo, Ernani, Faworyta, Prorok, Purytanie, Rigoletto, Marco Spada, Trubadur, Wesele Figara, Wieszcza róż, Żydówka. Tłumaczył nadto komedye: Dwaj uczeni, Głowa p. Martina, Obojętni).

Oprócz librecistów, napotykam tych tłumaczy, którzy bądź są artystami sceny, bądź też należeli do towarzystwa teatralnego, jako to: 1) Asnikowski Jan (Zareczny przed frontem). Wiele tłumaczył, był płatnym tłumaczem sceny krakowskiej w r. 1844, ale się nie nadał, bo źle tłumaczył; — 2) Ciemska Emilia (Pan Franciszek); — 3) Chrobryńska (Pani Brienne); — 4) Damse J. (Birbantuch, Przecie mu się raz udało, Syn w podróży); — 5) Dawson B. (Noc i poranek). Później dosyć i dobrze tłumaczył dla sceny lwowskiej i krakowskiej.

(**) Głównych tłumaczy artystów sceny znam te przekłady: 1) Komorowski J. Bogu dzięki już nakryte, Chata w zaro­ślach, Dwa wychowania, Dziwny guwerner, Kamień probierczy, Raptus, Zbrodnia, Margrabia Sainte-Ferre; — 2) Świeszewskiego W. Czarna i biała; Człowiek bez pamięci, Miłość za obojętność, Moja gwiazda, Natrętny, Nic bez przyczyny, Po dwóch latach, Sto za sto, System meża, Szał wspomnienia, Walka kobiet; — 3) Gellerta Antoniego Arlekin, Balamut, Brylanty, Dwaj bracia, Dwie margrabiny, English exhibition, Folwark Primerose, Nauzka od kuzynki, Nieznajoma, Powrót marynarza, Słuczona filiżanka, Tajemnice meżatek; — 4, 5) Gwozdeckich Balt. i Flor. Dalila, Hrabia Herman, Kean, Mieszczanie i kmiotki, Muszkie­tery, Jak trudno być mężczyzną, Pan w domu, Piękna młynar­ka, Przebudzenie się lwa, Pamiętniki babuni, Tajemnice Paryża, Trefniś, Uczciwy człowiek, Wigilia wigili, Zona pod strażą, Sylwester, Pensyonarka i inne; — 6) Gabryeli Gwozdeckiej z domu Gode: Klucz Metelli, Rodzina Bénétonów, Syn Giboye­ra i inne; — 7) Sygietyńskiego L., niegdys aktora: Lukrecya Borgia, Motylina, Mulatka, Niemy z Jagouville, Pomysł nowy, Ralf. Takie wszystkie, Van Bruck i t. d.; — 8) Halpertowej Leont. Artykuł 213, Adriana Lecouvreur, Dzwonek szatański, Fortepian Berty, Kobięty placzące, Domowe pożyczcie, Małe prze­szkody, Uściskajmy się, Malwina, Waryatka; — 9) Halperta B. M. Bertrand i Raton, Dom nadleśnego, I radość przestrasza, Nowy pojedynek, Fiorun, Zuch mimo chęci, Nieutuleni w żalu; — 10) Komorowska Antonina: Mąż o trzech kolorach, Zmałej chmury wielki deszcz; 11) Królikowski Jan: Dwie kropki wody, Mella i córka, Portret mojej kochanki, Stary skrzypek; — 12) Mello­rowa Zofia: żona dyrektora chórów (Dwadziestoletni opiekun, Kapelus z zegarmistrza, Szuka siebie. Jest także autorka kilku komedyj; — 13) Możdżenska Estella (Panna pełnoletnia, I wa­rzyzka z pensyi; — 14) Markowska z Palczewskich Teresa: Mąż przypadkowy, Oberża; — 15) Panczykowski L. i Jasiński Dwaj lunatycy; — 16) Rychter Józef Mularz, Tymotusz i Jafet; — 17) Skarżyński A. Laird z Dumbiki; — 18) Wagner J. B. b. kasyer teatru Rozmaitości: Hugonoci, Kopista, Montechi i Ca­puletty, Małżeństwo przy latarniach, Trombalkazar; — 19) Zie­lińska z Morozów Matylda: Rozsądna żona, Rozwód; — 20) Bogusławski Stani. Ona go nienawidzi.